





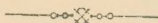
100



DOSZŁA PO CIERNIACH;

1777  
1778  
1779  
1780  
1781  
1782  
1783  
1784  
1785  
1786  
1787  
1788  
1789  
1790  
1791  
1792  
1793  
1794  
1795  
1796  
1797  
1798  
1799  
1800

DOSZŁA  
PO CIERNIACH.



POWIEŚĆ Z FRANCUZKIEGO.

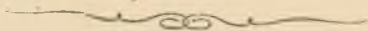
Przekład

STANISŁAWY B.

OGÓLNEGO ZBIORU WIECZORÓW POWIEŚCIOWYCH

DODATKU DO BIESIADY LITERACKIEJ.

TOM VII.



WARSZAWA.  
NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ”

1881.



153620

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 17 Юня 1881 г.



## I.

....,Co zaś dotyczy korzyści, jakie mogłoby wy-  
ciągnąć z tego systemu rolnictwo...“

Gwałtowny kaszel przerwał Sabinie. Kłęb dymu buchającego z fajki dławił ją, wyciskając z oczu łzy, przez które zaledwie rozróżnić mogła wyrazy. Chciała jednak przewyciężyć się i napowrót zaczęła:

....,Co zaś dotyczy korzyści...“

— Ciągłe jedno klekoczesz w kółko!—mruknął z gniewem pan de la Rullière. Wiesz, że tego nie-  
nawidzę, chcesz mnie chyba drażnić. Cóż dalej?

Niezmieszana tём Sabina ciągnęła swe monotonne czytanie. Po chwili pies znowu jój przeszkodził. Legł on spokojnie przed kominkiem i w błogim śnie marzył o lepszym świecie, na którym istnieli tylko łagodni, dobrym humorem obdarzeni panowie—gdy wtём silne kopnięcie nogą w bok przypomniało mu smutną rzeczywistość. Pies zerwał się i skoczył jednym susem na drugi koniec pokoju, wcisnął się pod krzesło i błagalnie patrzył na swego pana.

— Przekłete zwierzę! Zawołał pan de la Rullière; namęczyłem się tyle i nie mogłem nauczyć go spać bez chrapania. I zbrojąc się w szpicrutę, którą zawsze miał pod ręką, już chciał ukarać niepojętne go ucznia.

— Tylko nie w mojej obecności, ojczel! Powiedziała wówczas Sabina.

Powstała z miejsca i otworzyła drzwi. Biedne zwierzę, skowycząc, wymknęło się z pokoju natychmiast.

Przez drzwi otwarte wcisnął się powiew jesienno powietrza. Na dworze lał deszcz jak z cebra, wiatr północny bił o szyby i szumiąc po zamkowych korytarzach, wpychał do salonu dym z kominka. Obłok dymu z kominka łącząc się z cikliwą wonią tytoniu z fajki pana de la Rullière, czynił powietrze niepodobnym do oddychania. Sabina jednak spokojnie powróciła na swe miejsce przy kominku starannie ułożyła fałdy sukni jedwabnej, przygarnęła bujne czarne włosy i rozpoczęła nanowo odczytywanie „Przeglądu agronomicznego“ od punktu, na którym przerwała artykuł.

Pan de la Rullière pozbawiony ofiary na którą mógłby wyrzucić swój zły humor, wziął się do ognia i grzebać w nim zaczął; przytém robił tak wiele hałasu, iż Sabina czytanie znowu przerwała.

W tej chwili ojciec żywo obrócił się ku niej, z twaźszą rozczzerwienioną od płomieni i oczyma krwią nabiegłymi.

— Cóż tam! krzyknął. Przecie słucham—czytaj dalej!

Dziewczyna spojrzała na zegar.

— Dziewiąta. Za godzinę zaśnie, i będę wolną; pomyślała i znów głos podniosła odważnie.

Od czasu do czasu, nie zatrzymując się, oczy odrywała od książki, by się przekonać czy ojciec nie zasnął jeszcze. Gdy spostrzegła, że krótka fajeczka — prawdziwa fajka rolnika — już wysuwa się z pomiędzy jego palców, a głowa opada na piersi i podbródek tonie w składach krawata — wówczas głos przyciszała stopniowo. Nagłe zamknięcie było niebezpiecznym — mogło go obudzić.

W końcu jednak zamykała usta, — i tylko ponure wycia wichru i szum i plusk deszczu przerywały ciszę.

W ten sposób upływały dla niej wszystkie wieczory w zamku de la Rullière; mimo to, dzięki tej godzinie swobodnego skupienia myśli, jedynej godzinie z dnia całego którą uratowała dla siebie, Sabina nie czuła się nieszczęśliwą. W tej to bowiem godzinie wywoływała wspomnienia przeszłości, puszczała wodze swój wyobraźni, odgrzebywała marzenia o miłości i szczęściu. Blaskiem tych gwiazd oświecała i rozgrzewała swoje życie jednostajne i martwe.

Otwierała wtedy okno i patrzyła na niebo, iskrzące się migotliwym światłem. Później spostrzegając, że ojciec przebudzać się zaczyna, zamykała to okno tajemnicze, w głąb duszy i serca popychała cudowne zjawiska, żegnała te sny drogie, jak matka rozłączająca się z drogiem dzieckiem które zasypia — i powracała do realnego życia.

Rozpocząła znowu swe czytanie powoli, pół głosem, a pan de la Rullière był przekonany,

że wcale nie drzemał. Za niegodną słabość byłby on sobie poczytywał takie poddanie się znużeniu, nawet po całodniowych zajęciach w polu. Nic w oczach jego nie usprawiedliwiało podobnego niedołęztwa: ani dwanaście godzin przepędzonych na zagonie, ani noc przeczuwana pod gołym niebem w zasadzce na złodzieja, ani paromilowe wyprawy konno bez śniadania. To też Sabina, znając wszystkie słabe strony ojca i wyzyskując je w koniecznej potrzebie, nie dała mu nigdy poznać, iż podpatrzyła codzienne drzemki przy ciepłym kominiku. Tym sposobem zdobyła tę godzinę wolności i spokoju.

Sabina nie była marzycielką z usposobienia, zresztą dosięgała już wieku, w którym serce kobiety—jeżeli pozostało z nieziszczonem marzeniem, już nie może młodzieńczo pragnąć bez rozbicia się o skałę rzeczywistości. Miała lat trzydzieści; zamąż nie wyszła, mimo to nigdy nie poczuła pustki w swem sercu i życiu. Jej uczucia sięgały głęboko, jej przekonania i zasady były niewzruszone. Nie nawiądyła wszystkiego co jest chwiejącem się i mdławem; nie ufała uczuciom które ginąc we mgle, nie potrafią się jasno wyrazić, a nadewszystko miała wstręt do kłamstwa i z oburzeniem powstawała przeciw obłudzie, fałszom i udawaniom. Surowa dla siebie mniemała, że ma prawo i dla innych być taką, ale nieraz miękła wobec szczerego przyznania się do błędu. Nieubłaganą jednak była dla ludzi nieszczerých, a jednak przez całe życie tać musiała najgłębsze uczucia — ona, co nienawidziła skrytości. Tak umiała panować nad sobą, iż zdol-

ny dyplomata mógł jęj pozazdrościć pozornego spokoju, z jakim odnosiła zwycięstwa lub przyjmowała porażki w codziennych walkach z władzą ojca. Niechętnie pytała o radę i lubiła własném rozumowaniem rozstrzygać zagadki na drodze ży cia spotykane. Jeżeli powzięła jaki zamiar, żadne przeciwności nie były zdolne jęj od niego powstrzymać; prosto szła do celu, poruszając cały zastęp środków, które przygotowała zawczasu. Lecz zwycięstwa swego nie dała nigdy uczuć zwyciężonym; to tęż ojciec, opanowany jęj niezłomną energią, wyobrażał sobie, iż jest wszechwładnym panem domu.

Z dobrocią i ochotą niosąca pomoc nędzarzom, nie szczędziła napomnień i gromiła winnych. Sam pan de la Rullière nie okazywał dobitniej swego niezadowolenia. Łatwo zrozumieć, że podobny charakter wzbudzał więcej szacunku niż miłości. Rozkazy jęj spełniano nie z serca, ale przez poszanowanie i obawę; lecz spełniano je dobrze, a ona nie żądała więcej. Ponieważ rozporządzeniami jęj kierował zdrowy rozum i rozwaga, córki słuchano chętniej niż ojca, którego wymagania, przesadne i sprzeczne, dopiero w ustach Sabiny przyjmowały loiczniejszą postać.

Pan de la Rullière przyznawał to pocichu, i zwolna w ręce Sabiny przeszły rządy w zamku. Byłby jednakże ogniem cisnął na tego, ktoby mu oznajmił, że córka opiekę roztacza nad każdym jego krokiem. Sabina umiała nawet gwałtowność ojca obracać na swą korzyść, bo gdy on gniewem się unosił, ona pozostawała najzupełniejszą panią

siebie, a wiadomo, że z dwu sprzecających się osób przy końcu zawsze porywcza przegrywa, choćby z początku sporu miała przewagę.

Pan de la Rullière zawsze był zagniewanym — to normalny stan jego usposobienia; na chwilę nigdy nie pomyślał by się poprawić z tej wady. Rosła też ona z postępem lat i w końcu na jego rysach pozostawiła wybitne ślady.

Wysoki, barczysty, miał nos haczykowaty, włosy ciemne posiwiałe w części i krótko przystryżone, a wąsy do góry stojące i brwi krzaczące, które od bezustannego marszczenia czoła połączyły się z sobą. Nienawidzono go na dziesięć mil dokoła; małe dzieci wiejskie uciekały zobaczywszy go z daleka.

Syn lekkomyślnego i rozrzutnego ojca, który na zabawy i przyjemności stracił trzy czwarte majątku, w niczem do niego nie był podobnym. Skąpstwo główną cechę syna stanowiło. Gdy śmierć obezwładniła piękne ręce płochego szlachcica, który pieniądze puszczał jakby wodę przez palce, syn żelazną dłonią chwycił resztki ojcowskiej spuścizny, z silnem postanowieniem odzyskania majątku. Przeważnie jednak chodziło mu o ziemię, nie o pieniądze. Pragnął być bogatym; ale nie poto aby używać, gdyż upodobania miał ograniczone i skromne (kawałkiem czarnego chleba i szklanką najlichszego wina zadawałniał się w południe, jak ubogi wieśniak) ale marzył o tém, aby zwiększyć i zaokrąglić swoje posiadłości. Do ziemi był przywiązany jak chłop z dawna osiadły na gruncie. Najwyższem dlań szczęściem było posiadć

za jakąbądź cenę kawałek pola albo łąki. Nie przebiegał też w środkach, dążąc do tego celu; nie zawahał się skorzystać z trudnego położenia biedaka, lub wypędzić na głód i zimno dzierżawcę, który nie był w stanie uiścić się ze swych zaległości. Z powodzeniem odbywszy podobną wyprawę czuł się szczęśliwym jak cesarz Tytus... po spełnieniu pięknego i dobrego czynu. Nie ambicya wszakże w nim działała, lecz prosta, nienasycona chciwość, która skąpca popycha do zbierania złota. Nie obchodziło go bynajmniej zdanie ogółu, nie zamierzał wcale wywierać wpływu na sprawy narodu, nie chciał podawać się na wyborcę, gdy mu tę myśl podsunęto, bo cóżby mu z honorowego urzędu przyszło? Kto opiekowałby się jego interesami, gdy on w Paryżu radziłby nad cudzemi? Kto za niego wytrzeszczałby oczy, żeby nie stracić sposobności zyskania kawałka ziemi? Kto pilnowałby jego tłokarni, stodół i ważył wełnę? W owym czasie nie zrobił jeszcze z Sabiny swego powiernika i rządcy, a nikomu nie wierzył.

Człowiek z podobnym charakterem nie mógł wzbudzać miłości, nie dbał też o to, nie kochając nikogo. Ożenił się późno, bo jaknajdłużej chciał uniknąć wydatku i kłopotu, jaki sprawić musiała obecność kobiety w pustym zamku de la Rullière. Pewnego jednak razu powiedział sobie, że gdy się podstarzeje potrzebnym mu będzie syn do pomocy w ciężkich zajęciach. Chciał więc mieć potomka pomocnika, a pewnym był, że Opatrzność nie omieszką zadowolnić jego życzenia. Rozważywszy za-

tém wszystkie za i przeciw, postanowił się ożenić i do powszechnej podał to wiadomości.

O wybór nie trudno było. Już od dwudziestu lat stanowił on pożądany przedmiot dla matek z całego departamentu. Wiedziano, że był bogatym i oszczędnym, że najdrobniejszego w życiu nie popełnił błędu—co zaś dotyczyło gniewliwego usposobienia, wmawiano w siebie, że małżeństwo łagodząco nań wpłynie. To też pan Albin wszędzie mając drogę otwartą, wybrał kobietę z najwyższą cyfrą posagową. Ten jedynie wzgląd przeważał w jego oczach szalę.

Gdy zabierał się w czyn zamienić swój zamiar, lat już miał czterdzieści, a wypadek chciał, aby ów najpokaźniejszy posag spoczywał w drobnej rączce ośmnastoletniej dziewczyny, pięknej i świeżej jak różowa jutrzienka, z oczyma błękitnymi, w których łzy błyszczały naprzemian ze śmiechem; z charakterem uległym i słodkim, z sercem jak wosk miękkim, czującym głęboko i silnie.

Tego rodzaju istota musiała złamać się pod uciskiem żelaznego jarzma. Pan Albin wprawdzie przyznawał, że dziewczę jest cokolwiek zapiękném i zamłodem dla niego, ale wahał się tylko chwilę—uspokojony w swych obawach jęj cichą i uległą naturą. Będzieszpełniać jego wolę—i koniec! Od pierwszego dnia umiał też wzbudzić w niej tyle strachu, że biedne dziecko ani pomyślało o jakimkolwiek oporze. Zatopiła się sama w sobie i w cichości wylewała łzy gorące, które małżonek poczytywał za zbrodnią. To życie jednostajne



w wielkim, ponurym zamku wprawilo ją w końcu w rodzaj odrętwienia. Ludzi nie widywał wcale, pan de la Rullière czasem tylko zbierał u siebie hałaśliwych towarzyszy polowania, wobec których nie pozwolił żonie się pokazywać. Biedna kobieta płakała przy urodzeniu Sabiny, bo mąż nie ukrywał niezadowolonia i gorzkie jej czynił wymówki, ale gorzej było jeszcze, gdy po czternastu latach próżnych żalów i wyrzutów, druga mała istota ujrzała świat, tak smutno przedstawiający się matce.

Pani de la Rullière widząc, że to znowu córka— czuła że już ani łez nie stanie jej do płaczu, ani też sił, by znieść skutki tego zawodu. Czuła że umiera, i tylko bolała nad tém, że zabrać z sobą nie może biednej istotki, którą ojciec powitał przekleństwem. Któż ją bronić będzie i zasłaniać przed jego porywczoscią i gniewem? pytała się w ostatnich męczarniach skonu.

Sabina, mająca wówczas lat czternaście, wpatrywała się w twarz matki; zdawało się, że wielkie czarne jej oczy odczytują myśl umierającej. Sabina nigdy nie okazywała tkliwego przywiązania, była podobną do ojca, ale jej serce silnie czuło w głębi. Energia wynagradzała w niej brak czułości kobiecjej. To też zwykle dość chłodna dla matki, w tej ważnej i smutnej chwili pochyliła się nad nią i rękoma obejmując wątłą, drobną istotę, na piersiach matki spoczywającą, powiedziała:

— Bądź spokojną mamol! Jej szczęście będzie mi zawsze droższem niż własne, przyrzekam ci to! Błyskawica tkliwej wdzięczności na chwilę rozjaśniła twarz konającej, a potem na zawsze zam-

knęły się oczy, które tyle łez wylały w krótkim życiu.

Od tego dnia Sabina miała nowy cel i zajęcie—opiekę roztaczała nad siostrzyczką.

Jedna z sąsiadek, stara panna Teresa des Al-lais, ofiarowała się na matkę chrzestną sieroty. Znała ona dobrze męczarnie zatruwające życie zmarłej i nie lepszy los przeczuwając dla dziecka, chciała je zabrać do siebie. Pan de la Rullière z gotowością przyjął tę propozycję. Wtedy Sabina, dziecko jeszcze, nagle przemieniła się w kobietę. Pierwszy raz opór stawiała ojcu, oświadczając śmiało, że nigdy nie zezwoli na to, aby komukolwiek oddawano siostrę, bo sama chce się zająć jej wychowaniem.

Panna Teresa nie nalegała, pojmując, że staranie około dziecka wypełni życie Sabiny, której serce bez tego możeby od młodości zaschło w tej atmosferze ucisku i samolubstwa.

Pan de la Rullière patrzył na córkę z takim zdumieniem, że słów na odpowiedź znaleźć nie mógł. Dziewczynka zrozumiała z jego miny, że popełniła jakąś rzecz potworną w jego przekonaniu, ale nie zmieszana bynajmniej tak była stanowczą, że ojciec musiał uleść, chociaż wiedział iż coś wbrew jego woli się stało.

Sabina pojmowała, ciężar swoich obowiązków i pragnęła jak najlepiej je spełnić. Młodości prawie nie znała, umysł jej przedwcześnie dojrzał. Wzrastając w milczącym, osamotnionym zamku, patrzyła to na gwałtowne wybuchy ojcowskiego gniewu i brutalne jego obejście, to znów na powolne mo-

ralne konanie matki. Sama pełna sił i energii potępiała tę bezwzględną uległość. Przygotowywała się do walki, bo inne niż matka miejsce pragnęła zająć w domu, rozumiała zaś, że chcąc dojść do jakiegokolwiek władzy i znaczenia, należało ojcu stać się niezbędnie potrzebną.

W tym celu pomagały jej wrodzone skłonności. Nieba odmówiły panu de la Rullière syna, ale jak gdyby dla cząstkowego choć wynagrodzenia za ten zawód, córkę jego starszą obdarzyły mężczyznami zdolnościami. Sabina za życia matki mało okazywała chęci i pojętności; jej umysł nie chciał sobie przyswoić wykształcenia, jakie zwykle dają kobietom. Później zaś, gdy pozostała samą—ojciec ani myślał o dalszej nauce dowodząc, że kobiety zawsze umieją zawiele; sama więc rzuciła się do studyowania przedmiotów, do których najwięcej czuła pociągu. Ztąd też wynikło dziwaczne, jak dla kobiety, urobienie jej umysłu. Czytując wszystkie książki ze zbioru ojca, które bez wyjątku traktowały o rolnictwie, prawie ziemskim, lub tym podobnych kwestyach, i rozpytują się o to i owo rządców i wieśniaków, obznajmiła się w końcu doskonale z całym gospodarstwem wiejskim. Udarowana dotego umysłem bystrym i jasnym i sztuką panowania nad sobą, której nigdy nie posiadał ojciec, lepiej niż on znała stan i potrzeby ich majątku.

Pewnego dnia Sabina przyszła do ojca oświadczając, iż chce prowadzić rachunki. Pan Albin przypuszczał zrazu, iż córka pozwala sobie niewłaściwych żartów, wkrótce jednak zmienił zdanie-

Jęj niezwykłą pojętność i bystrość sądu poznał, gdy jednemu z sąsiadów tłumaczyła cały przebieg procesu. Przytęm jęj energia i niezaleźność wzbu-  
dziły w nim rodzaj szacunku dla córki. Zgodził się więc nareszcie na jęj propozycyę, przypuszczają-  
jąc, że los może istotnie tak sobie zażartował z niego i męzką duszę umieścić w kobiecęm ciele.

Sabina dostępiła zatęm wielkiego zaszczytu, zo-  
stała mianowaną pomocnikiem ojca. Szesnaście lat miała przyjmując na siebie spełnienie tych ciężkich i prozaicznych zajęć, które pochłoneły jęj młodość, dla innych pełną uroku i szczęścia.

O drugięj córce pan Albin zapomniął niele-  
dwie, bo Sabina starała się ile możności usuwać ją z oczu ojcu.

Dziecko rosło jednakże, i gdy siedmiu lat do-  
szło, młoda opiekunka, zastanawiając się nad wszyst-  
kiem, poczuła pewien niepokój. Znając dobrze braki własnego wykształcenia wiedziała, że nie będzie w stanie wystarczyć siostrze, zresztą nie-  
wiele czasu mogła jęj poświęcać; tym sposobem dziewczętko najwięcej obcowało ze służbą, a przed ojcem uciekało jakby winowajca. Nie znając ani zabawek ani żadnych towarzyszek, biedaczka była-  
by miała najsmutniejsze w świecie dzieciństwo, gdyby nie wieś i bogactwa przyrody.

---

## II.

Florunia wzrastała pośród kur, pawi i królików, lecz mimo zdrowego powietrza, pól i lasów, nie nabierała sił i cery. Była ona drobną i wątłą, twarzyczkę jej przejrzystej białości otaczały jasne włosy, które jak złocista fala spływały na ramiona. W ogóle bardzo przypominała matkę, tylko że w zakroju ustek jej więcej było wyrazu, a w spojrzeniu więcej głębokości. Sabina widziała, że dziecko nie posiada ani jej siły, ani zdrowia, a tém samém że nie wyrośnie na wieśniaczkę. Pragnęła więc jak najwcześniej wydalić ją z rodzicielskiego domu, uważając to za najwyższą oznakę przywiązania.

Pewnego wieczoru, gdy pan de la Rullière spożywał śniadanie przy kominku, Sabina bez żadnego wstępu rzekła:

— Chciałabym jechać do Paryża.

Pan Albin sądził, że córka zmysły postradała.

— Może być nawet, że zabiorę z sobą Florunię,—ze spokojem dalej mówiła Sabina.

Tego było już zawiele; pan Albin uniosł się gniewem.

Dziewczyna przeczekała burzę i kawą napełniając filiżankę, którą ojciec wywrócił w zapale, znowu mówić zaczęła:

— Widzę, że ojciec nie tak dobrą jak ja ma pamięć.

— Kiedy zakończysz te wolne żarty?—przerwał rozdrażniony.

— Nie żartuję bynajmniej, mówię z całą powagą. Ojciec pewno zapomniał, że po śmierci mojej biednej matki, siostra jej a moja ciotka d'Essé chciała nas wziąć do siebie?

— O, jeżeli o to chodzi—mruknął z ironią pan de la Rullière — to radzę ci przyjąć jej ofiarę! — Cóż to, czy przypuszczasz, żebym ci pozwolił korzystać z przestarzałego zaproszenia na które nawet nie raczyłem odpowiedzieć. A toż to ono pod słodkim pozorem wyraźnie mówiło, że oswobodzić chce dwie nieszczęśliwe córki od tyranii ojca!... Więc to cię upoważnia, abys pod macierzyńską opiekę paryżanki oddała siostrę? Bo domyślam się, że do tego zmierzasz?

— Zaproszenie pani d'Essé wcale nie jest przestarzałem,—odparła spokojna Sabina. Dziś rano odebrałam odpowiedź na list, który do niej pisałam.

— Jako? ośmieliłaś się pisać bez mego upoważnienia? — zakrzyczał pan Albin. A doprawdy, już tego zawiele!

— Pani d'Essé jest siostrą mojej matki...

— A wiem o tém aż nadto—i właśnie dlatego nie pojedziesz do niej!

— Dzieci nie ma...

— Cóż z tego?

Dziewczyna wahała się nieco.

— Nie ma prawych spadkobierców... rzekła bardzo cicho i jakby z żalem.

Pan Albin zastanowił się. Sabina znalazła ciotkę po której może odziedziczyć majątek! Uśmiech zadowolenia skrzywił wązkie jego usta.

— Brawo, moja córko! — rzekł z szyderstwem, głowę pochylając, — przechodzisz swą zręcznością moje oczekiwania. Ach, Sabino, jaka to szkoda że jesteś kobietą! Gdybyś była mężczyzną, z pewnością wielkie zbudowałibyśmy rzeczy we dwóch! W końcu niezawodnie zakupilibyśmy cały departament. No, pojedziesz moja córko, pojedziesz! A jak może być wielkim majątek pani d'Essé?

Wprawiony w dobry humor, pan de la Rulière tworzyć zaczął różne kombinacje oparte na tej nowej nadziei. Potem raczył dawać Sabinie rady, dotyczące podróży i nawet nie odmówił kwoty jakiej w tym celu zażądała.

Sabina pojechała więc do Paryża z siostrą i starą służą. Pan Albin nie pomyślał o tém, że wypadało towarzyszyć córkom.

Sabina miała wówczas lat dwadzieścia; świeża jej piękność była w całym rozkwicie i blasku. Wysoka, dumnie nosiła czoło otoczone wieńcem bujnych kruczonych włosów, piersią zdała się pochłaniać same rozkosze życia. Patrząc na nią mimowoli na myśl przychodziła wieś; była ona, jedném słowem, pięknym żywo zabarwionym kwiatem polnym i stanowiła zupełne przeciwieństwo z wątłą siostrzyczką. W niej czuło się moc i pewność, jak w roślinie pełnej zdrowych soków; czuło się, że zdolną jest bronić i podpierać każdego, kto jej opieki i pomocy zażąda. Czarne oczy Sabiny nie rzucały rozproszonych błyskawic, ale iskrzyły się ogniem odwagi i stanowczości; usta jej karminowe, jakby kwiat granatu, miały zasuwowy nieco wyraz w chwilach, gdy się nie rozchyliły do uśmiechu.

Przybywała ona do Paryża z całą prostotą dziewczyny wychowanej na prowincyi. Wszystko było dla niej nowém i zajmującym. Nigdy osobistego interesu nie mając na względzie, wyrozumowała sobie, że pani d'Essé przywiąże się do sieroty, że w Paryżu Florunia będzie mogła otrzymać wykształcenie, jakiego niepodobna jój było dać w odludnym la Rullière. Czuła ona niedostatki w swoich wiadomościach, czuła że była pozbawioną młodości; — dziecku chciała stworzyć świat rozkoszny, chciała aby siostrzyczkę nauczono wszystkiego. Ale pragnęła pierwój dobrze poznać ciotkę, przedtém nie wyjawiała swych zamiarów.

Pani d'Esse, wdowa, mimo pięćdziesięciu lat była miłą, ruchliwą, czynną, wesołą i dobrze wyglądającą. Nigdy nie miała ona dzieci, tym więc sposobem nie zaznała wielu trosk i zmartwień. To też zmarszczki nie rysowały rumianego jój oblicza, otoczonego chmurą drobnych siwawych loczków, pośród których zawsze tkwiła wiązka fiołków albo pączków róży. Była ona uosobieniem uprzejmości i dobrego serca. Nie opuściła ani jednego bału, ani koncertu wydawanego na cel dobroczynny. W jedném zgromadzeniu prezydowała, w drugim spełniała obowiązki sekretarza a w trzecim radcy; — słynęła z wielkiej pobożności i niewyczerpanego miłosierdzia, ale przedewszystkiem była światową damą. Nie wzdygnęła się przed obrazem nędzy, gdy pomoc jój nieść wypadało, lecz myśl przepędzenia wieczoru samotnie unieszczęśliwiała ją przynajmniej na tydzień. Potrzebowała więc towarzystwa, i bez wielkich trudności zdołała stworzyć



u siebie jeden z przyjemniejszych salonów w Paryżu; nie była bowiem nadto wybredną. Salon ten był jej dziecięciem, dumą, chlebem powszednim, a każdy przyznać musiał, że niewiele spotykało się równie gościnnych i ujmujących gospodyń.

Z otwartemi rękoma przyjęła ona sieroty, i szczerą łzę otarła całując Florunię, która jej przypominała siostrę. Pragnęła przytulić to dziecko, tak wątłe i nieznające żadnych pieszczot... Naprzód układała sobie jak ją wodzić będzie po swoich stowarzyszeniach pobożnych, gdzie wszystkie damy z pewnością ją otoczą miłością. Bo jakżeż nieszczęśliwem być musiało to biedactwo! — mówiła pani d'Essé — nic też dziwnego, że tak jest bladą i mizerną. Niezawodnie razem z biedną matką cierpiała ona głód i niedostatek przez skąpstwo ojca.

Pani d'Essé nie spostrzegła, iż zanadto puściła wodze swój wyobraźni, to też zdziwiła się niezmiernie, gdy w milczeniu słuchająca Sabina odezwała się chłodno:

— Jesteś w błędzie, moja ciotko. Ani my, ani mama nie cierpiałymy nigdy braku pod względem materyalnym. Rzekłszy to, wyprostowała się dumnie.

Pani d'Essé patrzyła na nią ze zdumieniem. Ta dziewczyna świeża i rumiana jak leśny bukiet, w skromnej sukience i bez ułożenia, dała uczuć jej, kobiecie wielkiego świata, że postąpiła bez taktu. Było to bezwątpienia upokarzającym, ale i inna uwaga nasunęła się równocześnie. Ta młoda siostrzenica, różna całkiem od obrazu jaki sobie

o niej zdaleka wytworzyła ciotka, miała w swój osobie i całym zachowaniu i mowie dużo oryginalności. Zdanie swe głosiła szczerze bez ogródek, w obejściu była poważną, ukłony składała ceremonialne i głębokie, jak młoda babcia; nawet włosy plotła w odrębny sposób i ubierała się z prostotą. Nie należało zatem przerabiać jej na paryżankę, bo wprowadzona w swój naturalnej postaci do salonu, mogła w nim stanowić żywioł nowy i ciekawy, pełen świeżości, jak wiejskie powietrze orzeźwiające. Jej naiwność i prostota mogły zająć i zabawić, jak modny tenor albo słowik.

Sabina zamało posiadała doświadczenia i znajomości świata, aby spostrzedz jaką rolę grać jej kazano. Żle jej było na tym nowym gruncie, nie wiedziała jak sobie radzić, i szła poomacku, jak podróżnik błędzący po obcej krainie, której ani obyczajów ani języka nie zna i nie rozumie. Co krok grzeszyła przeciw formom, wywołując uśmiech, bo była młodą i piękną, a często z nieświadomością pensyonarki wypowiedziała jakąś uwagę otwarcie, którą zasypywano oklaskami, jako rzecz powabną przez swą niezwykłość. Ale Sabina nie przybyła do Paryża aby się bawić, a tém mniej dla innych służyć za zabawkę; i wkrótce poznała, że wszystko co ją otacza jest próżne i powierzchowne. Pod pokrywką słodkich pochlebstw widziała zasadzki i niebezpieczeństwa o jakich dawniej nie miała pojęcia, czuła się upokorzoną przez ciekawość jakiej była przedmiotem.

Po dwóch tygodniach pobytu u ciotki już wyrzucała sobie, iż przybyła do niej. Widziała, że

cel tych odwiedzin chybiony — nie byłaby nigdy pozostawiła w niej Floruni.

Pani d'Essé, ciesząc się sławą zręcznej swatki, miała zawsze kilka panien na wydaniu koło siebie; przy téj więc sposobności Sabina poznała wychowawicę Paryża, i powiedziała sobie, iż stokroć lepiej aby jój siostra życie całe przesiedziała w la Rullière, niż aby się zrobiła podobną do wymuskanych lalek, trzepocących się jak motyle około swój protektorki. Zbyt może surowa w swoich poglądach, gorszyła się mnóstwem rzeczy, na które nie zwraca uwagi dziewczę przywykłe do atmosfery salonowej. Wszystkie kobiety wydawały jój się niezmiernie lekkimi, próżnemi i zalotnemi. Pragnęła aby Florunia była wykształconą i umiała się znaleźć w towarzystwie i zatańczyć kadryla, który dla niej był więcej zawyłym niż sprawy sądowe, ale widzieć to niewinne dziecię przerobione na istotę podobną do tych dziewczyn szepczących i chichocących za wachlarzem—nie! to lepiej od razu ją odwieźć do domu.

Pani d'Essé uszczęśliwiona, że siostrzenice jój ożywiały salon i służyły przytém za pozór do różnych wycieczek, chciała koniecznie je zatrzymać. Sabina została, nie robiąc jednak żadnych zobowiązań. Świat w którym żyła przerażał ją wprawdzie, ale chciała go głębiej poznać przed rozstaniem się z nim nazawsze.

Raz wieczorem nieliczne kółko bawiło u pani d'Essé, więc rozmowę zawiązano ogólną. Pomędzy gośćmi był autor nowój sztuki scenicznej, którą cały Paryż zajmował się chwilowo. I tu więc roz-

prawiano o tém; każdy wyjawiał swe zdanie, wychwalał, kadził, a czasem puścił się na łaskawą krytykę, którą natychmiast ktoś drugi odparł, jak to zwykle bywa wobec autora między ludźmi dobrze wychowanymi.

Rozmowa gasła zwolna wyczerpawszy przedmiot, pani d'Essé nie wiedziała czém ją podtrzymać i zasilić, gdy w tém spostrzegła Sabinę w milczeniu siedzącą na boku.

— Jeszcze jednego zdania brak nam o nowym utworze — powiedziała gospodyni — moja siostrzenica nie wyjawiała swego sądu.

— Czyż to zdanie parafianki może mieć jakąśkolwiek wartość? — nieco szorstko odparła dziewczyna.

— My o tém wyrokować będziemy, — rzekł autor.

— Więc pan życzysz sobie, abym wypowiedziała otwarcie, co myślę?

— Szczerść pani zawsze będzie mi przyjemną, chociażby się okazała surową — powiedział autor, przygotowany z góry na jakiś wyskok niezwykły.

— W takim razie powiem panu, — zaczęła Sabina— że musisz mieć nadzwyczaj niskie wyobrażenie o wszystkich mężczyznach i kobietach, kiedy zmuszasz nas przez dwie godziny przebywać w towarzystwie tak niegodnych istot jakie przedstawiasz, a my znów powinniśmy wstydić się przyklaskując tego rodzaju scenom, które w rzeczywistości okrywałyby nas rumieńcem wstydu. Słyszę, iż powtarzają, że społeczeństwo jest zepsutém— czyjaż w tém winna jeśli nie pana i tobie podobnych?

— Sabino! zapominasz się i unosisz!—zawołała pani d'Essé, ale dziewczyna niełatwo ustąpiła z polowy drogi, podobna w tém do ojca.

— To téż podług mnie—ciągnęła dalej głosem, który szorstko brzmiał z oburzenia—podług mnie niepodobna zostać zdrowym na duszy i ciele odychając tém zatrutém powietrzem. Nie można wymagać od tych, co po błocie brodzą, aby się nie powalali.

Pani d'Essé chciała się rozśmiać.

— Wiem, że pan wybaczysz mojej szczerój wieśniaczce—powiedziała, zwracając się do autora. Uśmiech pobłażania przesunął się po jego ustach.

— Szczęściem, mogę panią zapewnić — mówił do Sabiny—iż ani jedna ze scen, które tak głęboko zgorszyły panią, nie jest wymyśloną przeze mnie. Moja sztuka w najdrobniejszych nawet szczegółach jest wierném odbiciem rzeczywistego życia. Te rzeczy oburzające panią dzieją się, niestety, co dzień w świecie!

— W takim razie to, co pan światem nazywasz jest stekiem szkaradzeństw odrażających. Wolę ja towarzystwo moich krów i kurcząt.

— Pani d'Essé widząc, że nie zdoła powstrzymać prawdomównój siostrzenicy, zmieniła przedmiot rozmowy, przyrzekając sobie nadal być przeczniejszą. Towarzystwo zajęło się inną kwestyą, a biedna Sabina pozostała sama w kąciku.

Ta rozmowa była ostatnią kroplą przechylającą szalę niepewności i wahania, na stronę stanowczego kroku. Sabina zamierzyła zaraz nazajutrz opuścić Paryż i zabrać Florunię.

— I zrobisz pani bardzo słusznie; — głos jakiś szepnął, jakgdyby odpowiadając jej myślom.

Żywo odwróciła głowę i zmieszała się. Ze wszystkich mężczyzn, których jej przedstawiano, jeden tylko cokolwiek więcej obudził w niej zajęcie. Być może, iż powaga w jego zachowaniu się, rozsądek i szczerłość w jego słowach, któremi nie-szafował, zjednały mu jej sympatyę—dość, że Roger de Bargemont był jedyną istotą, o której byłaby rada nie zapomnieć opuszczając Paryż. Pani d'Essé wyrażała się o nim jako o młodzieńcu świetną przyszłość mającym przed sobą.

Sabina tém więcej miała dla niego szacunku, że nigdy nie usiłował zabawiać towarzystwa dowcipkami. W jej oczach ta wstrzeźliwość Rogera osłaniała prawdziwą moralną wartość. Przytém był on pięknym, prawdziwie mężką urodą, pełną siły i życia.

Coś ją zabolalo w głębi, gdy pan de Bargemont pochwalił jej zamiar wyjazdu.

— Dlaczego mówisz pan, iż dobrze zrobię opuszczając Paryż? zapytała z odcieniem goryczy.

Młodzieniec spostrzegł jej urazę, i ze złośliwym uśmiechem patrzył na nią.

— Przecież pani sama powiedziała, że jesteśmy zbiorowiskiem istot zepsutych, prawdziwym szpitalem. Zdaje się więc, że jedynym sposobem uniknięcia choroby niebezpiecznej—jest uciec od nas jaknajprędzej, by odetchnąć świeżem powietrzem. A nam biedakom, nam chorym bez nadziei, trzeba zostać i nadal grzęznąć w téj kałuży błędów i wy-

stępków, gdzie nie możemy spodziewać się aby litościwa ręka z pomocą nam przysłała!

Sabina badawczo spojrzała na mówiącego.

— Pan żartujesz ze mnie, wszak prawda? Uważasz mnie za istotę dziwną, przesadną w swych pojęciach i niemiłosierną? a jednak przekonaną jestem, że w głębi serca podzielasz moje zdanie. Gdyby ciążyła na panu odpowiedzialność za wychowanie dziecka, z pewnością byłbyś jak ja przerażonym świadomością tego, co z niej wyrość może wśród ludzi, którzy tak nieoględnie mówią i postępują.

— A, co do tego najzupełniej zgadzam się z panią. I wybaczone, ale powiem otwarcie, że ciotce pani, swoją drogą najlepszej w świecie osobie, nie powierzyłbym nigdy wychowania swjej siostry. W tym salonie, jednym z najprzyjemniejszych mimo tego wszystkiego w Paryżu, towarzystwo jest dziwnie niedobranem,—jak to zapewne pani sama zauważyła. Przyznam się, że nieraz z żalem patrzałem na to małe dziewczętko, które zanadto stroją i za długo po nocach trzymają, przy którym tyle mówią rzeczy bez wyboru, szczęściem niezrozumiałych jeszcze dla niej.

— Więc pan pochwalasz mój zamiar?

— Bezwątpienia, już miałem zaszczyt powiedzieć pani, że najzupełniejszą masz słusność.

Sabina zmieniła ton mowy, smutek przemknął przez jej czarne oczy.

— Ach tak! zaczęła z wstchnieniem. Wyobrażałam sobie, nie wiem czemu, że pan może jesteś trochę moim przyjacielem. Widzę, że się pomy-

liła; rozczarowanie to dołączę do innych—uzbieranych tu podostatkiem. Spodziewałam się jakiejś rady od pana, a spotykam tylko żarty i szyderstwo.

Roger spowaźniał nagle, w oczach dziewczyny spostrzegł łzę błyszczącą. Niejednokrotnie śmiał się z nedorzecznych wyskoków Sabiny, lecz jój charakter zacny i szczery szanował. To też przykro mu było, że ją zraził do siebie; i chcąc złe naprawić, usiadł przy niej na kanapce, którą pani d'Essé postawiła za zastoną z świeżych kwiatów. Zmienił ton, i obejście i spoglądając wzrokiem, w którym niedoświadczona Sabina widziała więcej uczucia niż prostej życzliwości, powiedział:

— Nie pomyliłaś się pani. I jeżeli pewnoś, że znalazłaś przyjaciela może wynadgrodzić choć jedno z postradzanych złudzeń, to racz ją przyjąć ode mnie.

Słowa te były radosną niespodzianką dla dziewczyny.

— A... tak to co innego!—zawołała. Przyjmuję pańską przyjaźń i będę liczyć na nią.

Bez ceremonii podała mu rękę pięknego kształtu, ale trochę zaczną i zadużą, i uścisnęła jego dłoń po przyjacielsku.

To obejście swobodne ujęło Rogera; jednak w duchu zadał sobie pytanie, czy ten zupełny brak zalotności nie jest równie niebezpiecznym jak jój zbytek?

— Teraz więc—zaczęła Sabina—mam prawo żądać pańskiej rady, nieprawdaż? Zastanów się pan zatem pierwój dobrze i głęboko, bo przyznam ci się, że pierwszy raz w życiu robię coś podobnego.



Dotąd kierowałam się zawsze swoim zdaniem i własnym poglądem, i nie żałowałam tego, lecz obecnie znajduję się na gruncie nowym i nieznanym, boję się uczynić fałszywego kroku i radabym na kogoś innego złożyć odpowiedzialność za postanowienie jakie przedsięwezmę. Mówmy z sobą otwarcie. Przywiozłam tu moją siostrzyczkę sądząc, że ciotka przywiąże się do niej i zechce zająć jej wychowaniem. Niemożebność wykonania tego planu uznajesz pan równie jak ja. Cóż więc radzisz mi uczynić? Mieszkam sama z ojcem, w odosobnionym jak na pustyni zamku, bez żadnego towarzystwa i środków kształcenia się wyższego. Wspólnicy polowania, którym lubi się bawić mój ojciec, są jedynymi znajomymi, a dwie stare panny, z zeszłego stulecia pozostałe, jedynymi przyjaciółkami jakie posiadam. Czyż więc mogę to przybrane moje dziecię zamykać w tém pustkowiu, i dawać mu wykształcenie tak niedostateczne i niedokładne jak moje własne, i pozwalać mu wzrastać w nieświadomości tego co się na świecie i w życiu dzieje?

— A zachowaj Boże!—nie mogąc się powstrzymać, zawołał Roger.

Sabina uśmiechnęła się zlekka.

— Mogłaby stać się drugim wydaniem mnie samój, nieprawdaż? rodzajem dzikuska nieokrzesanego i nieumiejącego się znaleźć i odezwać. Ha, cóż pan chcesz! nie moja w tém wina. Czternaście lat miałam gdy umarła matka. Od tego czasu nikt się mną nie zajął; przeciwnie, ja musiałam się zajmować tysiącem niekobiecych rzeczy. Przedewszystkiem byłam zmuszoną czuwać nad tém, aby wła-

dzę zachować nad siostrzyczką i wyrobić sobie prawo kierowania nią podług własnej woli. A teraz gdy posiadam jedno i drugie, gdy swobodnie rozporządzać mogę, sama nie wiem co czynić.

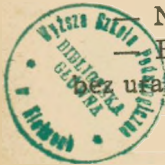
— Posłuchaj mnie, pani, chwileczkę—zaczął Roger. Czuję się w obowiązku usprawiedliwić, czemu tak żywo zaprotestowałem przeciw zamiarowi pani zagrzebania dziewczynki w tém pustkowiu, gdzie sama przepędziłaś pierwsze lata młodości. Nie chciałem bynajmniej ubliżyć tém pani. Dobrze byłoby, gdyby wszystkie młode osoby zachowały tę prawość charakteru i wstręt do kłamstwa pod wszelkimi jego postaciami! Ale wierzaj mi pani, że zbyt wielka drażliwość moralna także ma swoje niebezpieczeństwa; lepiej jeżeli kobieta zapozna się trochę i z tém, co później spotyka w życiu. Musimy przebywać z ludźmi i to najrozmaitszymi,—podług mnie zatém trzeba wczesnie ocierać się o sprzeczne i odmienne od naszego charaktery i zdania, aby nie gorszyć się tém co jest nieuni-  
knione. Wiesz pani cobym zrobił na twojém będąc miejscu? oddałbym siostrzyczkę do jednego z klasztorów paryzkich, które dziś są tak niepodobne do dawnych, jak pierwotny sposób podróżowania do obecnego; — a sam...

Przerwał.

— Chcesz pan powiedzieć, że mnie wypadłoby w takim razie powrócić do mego pustkowia? dokończyła Sabina.

Nie, tego na myśli nie miałem.

— Bądź pan przynajmniej szczerym do końca; moje uszy przyjmują twą dobrą radę. Dzięki za nią.



Tak powiedziała, lecz gdy przyszło radę w czyn zamienić, nie znalazła w sobie dość odwagi.

Florunia została umieszczoną w klasztorze; panu de la Rullière nie podobała się tylko wysoka suma, jakiej od niego zażądano. Dziecko łatwo przywykło do nowego otoczenia, w którym czuło się nawet szczęśliwszem niż w domu i u ciotki.. ale Sabina nie wspomniała już o powrocie do ojca.

---

### III.

Każdego dnia wynajdowała nową przyczynę, usprawiedliwiającą to ociąganie się. Pierwszy raz jej pragnienia i myśli nie zgadzały się z czynem, bo stało się coś, czego nie przewidywała w swych rachubach. Prowadząc życie odarte z wszelkich marzeń i poezyi, nie zapytywała nigdy serca, czy posiada tajemny ogień, zdolny rozwinąć się kiedyś. Wyobraźni jej nie zaprzętały chorobliwe rojenia o ideałach; nie czuła potrzeby pokochania kogoś. Czas miała ściśle zapełniony zajęciami, które pochłaniały całą jej uwagę, nie mogła więc myśleć o miłości i małżeństwie. Przytem w la Rullière nie widywała mężczyzn którzyby tę myśl nasunąć jej mogli. W Paryżu zaś wszystko się zmieniło. Brak zwykłych obowiązków zmusił ją do próżnowania, i umysł używając swobody puszczał się drogą, na którą mimowoli popychało go otoczenie.

To też nie wiedząc prawie co miłość znaczy, pokochała całą potęgą swęj silnej natury, nie zastanawiając się zgoła co dalej będzie. Uczucie jej,

ograniczające się zrazu na szacunku i uwielbieniu, potem nie znało miary, nie umiała nawet ukrywać dobrze swój tajemnicy. A Roger wcale nie myślał o tém by się nią zająć żywiej; spostrzegłszy wzburzone przywiązanie, prawie się przeraził. Lubił on dosyć towarzystwo Sabiny, szanował ją głęboko i czuł dla niej prostą, szczerą życzliwość brata albo przyjaciela. Była piękną, szlachetną w swych popędach, umysł miała pojętny, za siostrę chętnie byłby ją przyjął i honor swój bez wahania byłby jęj powierzył, lecz nie myślał nigdy żądać od niej, ażeby szczęściem opromieniła jego życie. Na chwilę nie przypuszczał, że uczucie jakie żywił dla niej—miłością było. Na uścisk jęj ręki odpowiadał równą serdecznością, nigdy nie zatrzymując jęj dłoni; gorący jęj wzrok wytrzymywał spokojnie, bez najmniejszego zmieszania.

Roger nieraz w młodzieńczych snach kreślił sobie obraz kobiety, któraby mogła zostać jego bóstwem, i zawsze marzył o skromnej, cichej, pełnej wdzięku i poezji, trochę może trwożliwej i niepolegającej bezwzględnie na swój sile. Wyobrażał sobie, iż będzie to istota delikatna, potrzebująca jego męzkiej opieki, a czarowna jak uśmiech i woń kwiatu. Tych warunków Sabina nie posiadała. Czuł więc, że jeżeli z nią się połączy, nie zazna nigdy upojenia i pod pewnym względem nie zaspokoi swych pragnień. Mogła ona zostać jego towarzyszką, ale nie mogła być upiększeniem, ozdobą, czarem życia. Jęj szorstkość drażniła jego smak wyrobiony; rozmawiając z nią pomyślał czasem niechęć o cierpkich owocach.

Nawet jęj niezaprzeczona piękność w jego oczach była zasuwą, zapoważną; wybornie mogła przedstawiać cnotę, a on pragnął w nięj uroku.

Jednakże przywiązanie jęj wzruszało go do pewnego stopnia, a głównie pochlebiało jego dumie. Wprawdzie nie objawiał nigdy udanych uczuć, ale nie miał odwagi aby odepchnąć serce z takim zaufaniem oddające się. Sabina zaś, mając usposobienie szlachetnych istot, które woła dawać niż przyjmować, była tak szczęśliwą, że nie spostrzegła, iż Roger odpłacał tylko współczuciem i zwykłą przychylnością.

Pani d'Essé bystrém okiem znawczyni dopatrzyła na co się zanosilo, i chcąc mieć w tém jaknajwiększą zasługę, nastęrczała młodęj parze różne sposobności widywania się częstszego. Lecz miarkując, że sprawa przeciąga się zadługo a wahania i zwłoki pochodzą ze strony Rogera, postanowiła otwarcie się z nim rozmówić.

Młodzieniec odkrył przed nią swe obawy, ale pani d'Essé umiała wziąć się do rzeczy i uspokoila go, przekładając, że szacunek i spokojne uczucie są lepszą rękojnią szczęścia niż namiętności gwałtowne, które palą się szybko i przeradzają w obojętność albo nawet obrzydzenie. Przytem Roger pokładał nadzieję w przyszłości. Sabina była młodą, więc pod wpływem szczęścia i uczucia mogła się zmienić i zmięknąć jak owoc pod działaniem słońca; i kiedyś mogła urzeczywistnić jego marzenia i zadowolnić jego serce, umysł i wyobraźnię. Wszystko zatem rozważywszy—poprosił o jęj rękę.

Sabina z radością i wdzięcznością przyjęła to szczęście. W pierwszej chwili była jakby zawstydzoną i onieśmieloną, co dziwnie odbijało od zwykłej szorstkości, a bardzo podobało się Rogerowi. Piękność Sabiny wistocie zyskiwała pod wpływem uczucia, nabierając niewieściego uroku i powabu;—dość, że mieli kilka dni zupełnego szczęścia.

Sabina, jak zwykle, przedewszystkiem o innych myśląc, mówiła sobie, że jej małżeństwo korzystnym będzie dla Floruni, której przy sobie lepszą zapewni opiekę. Z ojcem trochę gorsza była sprawa; ale on mógł się łatwo pocieszyć po stracie córki—byle znalazł dobrego rządcę.

Pan de la Rullière odebrawszy list pani d'Essé, przedstawiający prośbę Rogera, wpadł, ma się rozumieć, w gniew okropny, ale nie mając na kim go wyrzeć, ochłonął dość prędko. Przytem w objaśnieniach, dotyczących przyszłego zięcia, zastanowił go punkt jeden. Pan de Bargemont był sierotą, miał lat dwadzieścia cztery, opiekun zarządzał jego majątkiem. Dobra te miał już wkrótce objąć na siebie i wówczas naturalnie w niejednym zasięgałby rady swego teścia. Pan de la Rullière już z radości zacierał ręce, obiecując sobie, że weźmie je pod swój zarząd i opiekę. Te okoliczności wpłynęły na zmianę jego usposobienia, i tém samym piórem, które umaczał aby stanowczą dać odmowę, napisał list prawie uprzejmy — zapowiadając swój przyjazd do Paryża.

Zaledwie zobaczył zięcia, nie usiłując wcale poznać go bliżej, przystąpił natychmiast do głównej kwestyi: kontraktu.

O posagu córki przebaknął coś niewyraźnie a o wyprawie wcale nie myślał; szczęściem, że pani d'Essé nią się zajęła. Sabina żyła jakby we śnie czarownym, miłość przekształcała ją coraz bardziej; z dniem każdym stawała się podobniejszą do wymarzonego przez Rogera ideału. Wszystko już było gotowem i umowa ułożoną, czekali tylko z podpisaniem jęj na przybycie opiekuna Rogera, lub na przysłanie potrzebnych papierów — gdy wtęm straszna wiadomość zburzyła ten gmach szczęścia.

Opiekun odebrał sobie życie, zostawiając w największym nieładzie interesa i papiery, z których to tylko można było wiedzieć napewno, że majątek powierzony jego rękom przepadł w zupełności. Pan de la Rullière w jednęj chwili zerwał z Rogerem i postanowił natychmiast powrócić do domu razem z Sabiną. Na pocieszenie kupił sobie żniwiarę, na którą oddawna miał ochotę, i pojąc nie mógł czemu córka nie zajmuje się z nim na równi tą ciekawą maszyną. Jęj cierpienia całkiem nie rozumiał, bo i cóż za zmiana zaszła w jęj życiu? nie czuła się nieszczęśliwą przedtem, dlaczegożby więc teraz było inaczej?

Roger, jako człowiek honorowy, zwolnił narzeczoną z wszelkich zobowiązań, co tęż za słuszne uznała i pani d'Essé. Jedna tylko Sabina nie chciała o tęm słyszeć. Mimo wszystkiego pragnęła zaślubić Rogera i oświadczyła, że z ochotą podzieli jego ubóstwo i pracować z nim będzie. On jednak stanowczo to odrzucił. Sabina w oporze jego z po-

czątku widziała tylko zbytnią delikatność. Roger silny miał charakter i nie lękał się walki z życiem, bo czuł w sobie dość mocy by zwyciężyć nieszczęście i przeszkody. Postanowił jechać do Ameryki i tam zużytkować swoją naukę na drodze inżynierji. Sabina kochała go tak głęboko, iż słysząc o tych zamiarach sądziła, że serce z bólu jęj pęknie. Potęgą uczucia starła jęj dumę — z nieśmiałością powiedziała mu, że z nim popłynie do nowj ojczyzny. Czyliż kobieta kochająca nie była raczej pomocą niż ciężarem wśród walk na jakie zamierzał się narażać? Ale Roger nie przyjął tego poświęcenia, i odtrącał je tak uporczywie i energicznie, że biedna dziewczyna pierwszy raz wpadła na straszne przypuszczenie, iż narzeczony jęj nie odplacał równie wielkiem przywiązaniem. Poprzysięgła mu wierność, lubo tego nie żądał; przyrzekła do śmierci innego nie przybierać nazwiska, chociaż wracał jęj zupełną wolność; ze swj strony również nie robił żadnych zobowiązań, uprzedzał ją nawet, że pisać nie będzie, ani się też pokaże dopóki nie powróci do kraju z nowym majątkiem. Znał Sabinę i wiedział, że jest niewzruszoną i stałą w swych uczuciach, jak w swoich zasadach; nie mógł więc liczyć na to, aby czas osłabił lub zatarł jęj przywiązanie, jak się to zdarza u innych kobiet. I mimowoli przyjąć musiał te przysięgi i zaklęcia miłości, którj sam nie odczuwał. Dziesięć lat upłynęło od tego czasu. Sabina nigdy nie słyszała nawet jego nazwiska. Pani de la d'Essé umarła, a Florunia ciągle była w klasztorze.



Corok podczas wakacyi Sabina jeździła do niej i kilka dni przepędzała w klasztorze, nie mając nikogo ze znajomych w Paryżu.

Nie robiła żadnych usiłowań by zasięgnąć wieści o Rogerze, nie próbowała nawet pisać do niego, ale sądząc po sile swego uczucia, z niezachwianą wiarą czekała jego powrotu.

Mimo odosobnienia w jakim żyli, mogła była wyjść zamąż gdyby chciała; lecz sama ta myśl wywoływała na jej lica rumieniec wstydu, bo w swém sercu i przekonaniu była żoną Rogera.

Jej miłość zamiast chłódnąć z czasem, coraz głębiej wpijała się w jej serce. Do Rogera najmniejszego nie miała żalu, i wielką pochopność w zwróceniu jej słowa tłumaczyła szlachetną bezinteresownością i podnosiła ją nieledwie do bohaterstwa.

Po dziesięciu latach piękność Sabiny straciła olśniewającą świeżość, którą tak uwielbiano w salonach pani d'Essé. Wiejskie powietrze łatwo i prędko pali kwiaty i twarze kobiece, to też i jej pleć zciemniała, a rysy regularne trochę się wyciągnęły, i piękne jej ręce ogorzały, ramiona się rozrosły, chód nabrał ociężałości, a głos, przywykły do rozkazywania podwładnym, brzmiał zadołnośnie i zaostro. Ubierała się bardzo starannie, każdej chwili oczekując Rogera. Bała się by nie zastał jej zaniedbaną. Była to jedyna jej kobieca słabostka, ale i w tém się odbijał jej oryginalny i silny charakter: to co ona za piękne uważała, z pewnością byłoby się wydało niegustowném wielu kobietom. Lubiała bowiem kolory żywe, ma-

terye ciężkie, mieniające się na świetle, i ozdoby ze złota i drogich kamieni. Do obiadu, który spożywała samnasam z ojcem, niezmieniającym na lepsze ubranie swego surduta szaraczkowego i zabłoconych butów — stroiła się jak u ciotki w Paryżu i przypinała klejnoty przygotowane do wyprawy.

Jój stroje dziwną stanowiły sprzeczność z całym otoczeniem. To też ojciec wyśmiewał się bezustanku; ale jego żarty i przycinki mijały bez śladu, jak woda płynąca po marmurze. Ta mała ułomność kobieca, odzywając się w tém sercu mężkiem, odważném i szlachetném, miała w sobie coś wzniosłego, na czém wcale nie umiał się poznać pan de la Rullière.

---

#### IV.

Tego więc wieczora Sabina miała suknię zieloną jedwabną, po której płomienie z kominka błyskające kreśliły złote arabeski. Palce jój lśniły od drogocennych pierścieni. Stanowiła ona jedyny jaśniejszy przedmiot w ponurym salonie. W dniu tym była widocznie pochłoniętą przez swe wspomnienia, bo nie zauważyła chwili w której się ojciec przebudził ze zwykłej drzemki.

Pan de la Rullière nie omieszkał też mruknąć opryskliwie:

— Cóż tam? dlaczego się zatrzymujesz? Czytaj dalej!

— Chcę pomówić z tobą ojczy—powiedziała.

— No, to spiesz się.

Sabina zwlekała przez chwilę. Godzina marzeniom poświęcona rozrzewniła ją; nie mogła tak prędko odzyskać swego spokoju i stanowczości.

— Chcę pomówić z tobą o Floruni... rzekła cicho.

Pan Albin nie dosłyszał i przekonany, że córka wspomina o złej młockarni, którą właśnie kupił, rzucić się zaczął.

— A, piękny mi nabytek, niema co mówić! Więcej węgla potrzebuje niż lokomotywa! Ten głupiec Jakub na niczem się nie zna, a Teresa dyabła upatruje w każdym nowym wynalazku. Nie, nie... dajmy temu pokój! dziwię się nawet, że mi przypominasz. Mówiłem że nie chcę o niej słyszeć.

— Nie zrozumiałeś mnie, ojciec — powiedziała Sabina przeczekawszy wybuch. Wcale nie miałam na myśli ani młockarni, ani też panny Teresy des Allais; — napomknęłam o twojej córce młodszej Floruni, o której może już zapomniałeś.

— O, nie obawiaj się tego! Przypominasz mi ją porządnie co kwartał. Rzecz straszna doprawdy, co kosztuje wychowanie tej dziewczyny! A na ciebie nie wydałem ani grosza! Ale czyż-to nie myślisz jej z tego klasztoru odebrać? Dotąd pozwalałem na wszystko, lecz już dość tego!

— Właśnie chciałam ci o tem oznajmić, ojciec, że postanowiłam wkrótce ją sprowadzić...

— Tutaj? Nigdy w życiu! Dopiero mielibyśmy niepokoju, hałasu i kłopotu!

— Więc cóż z nią zrobisz, ojciec?

— Co? Hm, jeszcze sam nie wiem. Oddać ją do Teresy — rzecz najlepsza.

Sabina uśmiechnęła się nieznacznie.

— Przeciwną temu nie jestem...

— A widzisz! Pierwszy to chyba raz zgadzamy się bez sprzeczki.

— Czyjaż w tém wina, że niezawsze tak bywa?— zapytała córka.

— No proszę! Coza pytanie. Ja wydaję rozkazy, a czyś ty powinna kiedykolwiek roztrząsać je i krytykować?

— Nie o to chodzi nam obecnie — dość porywczo rzekła Sabina. Mówiliśmy o Floruni. Czy zastanawiałeś się kiedy ojciec nad tém, że majątek des Allais...?

— Proszę cię, nie zadawaj żadnych dziwacznych pytań,—raptownie przerwał pan Albin. Wiesz dobrze co o tém myślę. Przekręcałem tę sprawę tak i owak, na wszystkie strony—wyczerpałem wszystko. Wiadomo ci, że za życia starego des Allais nastawiałem go procesem jednym za drugim bez przerwy, spodziewając się, że mu tak dopiekę i obrzydę tę ziemię, iż chwyci się ostateczności. Umarł z tego, biedak! A teraz jeszcze jest gorzej. Jakóba niema nawet przyjemności drażnić. Trzyma się swój ojcowizny rękoma i nogami; na moje zaczepki nie zważa, jak na muchy siadające na jego długim nosie. Nic z tego chłopaka zrobić nie można. I doprawdy aż litość bierze patrzeć jak ten piękny majątek marnieje, pod zarządem dwu starych dziwaczek i tego gamonia, który tylko zbiera motyle i robaki, a potem zachwyca się gdy zboże zarażone kąkolem i habrem! Jakub nie sprzeda majątku, to więcéj niż pewno, chociażby mu

przyszło z głodu jeść trawę. Był inny punkt wyjścia możliwy — a czyjaż w tém winna że się nie udał?

— Nie wspominajmy o tém ojcie. Wiesz że się to nie przyda na nic; — z niecierpliwością rzekła Sabina.

— Tak! Ale przyznam ci się, że nie umiem sobie wytłumaczyć tego szaleństwa w tak rozsądnej jak ty dziewczynie. Twój piękny jegomość z Paryża nigdy nie powróci, możesz być o to spokojną; zanadto prędko i ochotnie wyjeżdżał. I dla takiego powodu odmawiać!...

— Nie miałam sposobności odmawiać mój ręki Jakubowi, dla téj prostej przyczyny, że nie prosił o nią.

— Nie prosił! A wiesz dlaczego? Nie śmiał—za bardzo się boi ciebie.

— Porzućmy lepiej tę kwestyą. Jest jeszcze inny sposób połączenia dóbr des Allais z la Rullière.

— Dawniej myślałem o tém, aby się ożenić z którą z tych dziwaczek.

Sabinę dreszcz przejął. Tego nie przewidywała nigdy.

— Izabella więcej mi przypadła do gustu napół idyotka, woli swojej nie ma, — ciągnął pan Albin, drażniąc córkę. Miałabyś z niej przyjemną towarzyszkę i pomoc w zajęciach domowych. Ale co prawda, nie jest to środek w całym znaczeniu dobry.

Sabina niecierpliwie się poruszyła.

— Chciałam poddać ci rozsądną myśl, ojcze,— powiedziała. Jakżebyś naprzykład uważał małżeństwo Jakuba des Allais z Florunią?

— Hm! wcale niezła kombinacya; ale ta mała jest dzieckiem, a Jakub ma...

— Lat trzydzieści jeden, jak ja.

— Wyborny pomysł, wyborny!—powtarzał pan de la Rullière—ale stawiałbym warunki niezbędne. Gdy Jakub zostanie moim zięciem, będzie musiał osuszyć nieszczęsne jezioro, które tylko wilgoć utrzymuje w całej okolicy. Na wzgórkach zanieczyszczonych różami posadzę winną latorośl; pyszne położenie na południe! Ogród Izabelli każę skopać i uprawić... znakomite buraki będą na tym gruncie... Cedry od wschodu wyciąć każę... zda się budulcowe drzewo... a nie będę już zabierał światła jarzynom... I w miejsce kwiatów...

— Nic z tego wszystkiego nie zrobisz ojcze! Jakub chociaż ci się wydaje powolnym i uległym, jest bardzo upartym przy swęj nieśmiałości i łagodności charakteru. Wierzaj temu co mówię, bo znam go doskonale; i dlatego właśnie chcę mu powierzyć Florunię, że jest godnym jęj pod każdym względem. Zgadzam się zupełnie z tobą, że korzystnie byłoby obydwaj majątki połączyć i pod jeden oddać zarząd. Ale do tego nie przyjdzie nigdy, a wiesz ojcze dlaczego? Oto gdy dzierżawca nie ma czém zapłacić Jakubowi, on go poklepie po ramieniu i powie: załatwimy to innym razem, mój przyjacielu; gdy wyrobnik musi sprzedać swój dobytek aby wyżywić rodzinę, Jakub zakupuje od niego za podwójną cenę i zwraca to co nabył.

To wszystko nie jest zyskownem gospodarowaniem. Ty ojciec i ja pojmujemy inaczej interesa— to też nas nienawidzą. A idź i zapytaj się wieśniaków z des Allais co myślą o swoim panu? uwielbiają go i kochają! Jakub dumnym jest i szczęśliwym z ich miłości, i postępowania swego nie zmieni dla dziesięciu teściów.

— Jakąż więc korzyść przyniesie mi to małżeństwo?

— Szczęście Floruni.

— Ba! śliczna mi historia! Może jeszcze w dodatku zażadasz ode mnie posagu dla niej?

— Nie byłoby w tém nic dziwnego, przecież wzięłaś, ojciec, majątek za moją matką... Ale nie zapuszczajmy się tak daleko. Staje więc na tém, że odbiorę Florunię z klasztoru i przywiozę tutaj. Zobaczy Jakuba — postaram się, aby jak najlepiej go przedstawić—i gdy nawzajem sobie przypadną do serca, nie będziesz, ojciec, stawiał żadnych przeszkód i warunków. Jeżeli zaś Florcia nie poweźmie do niego przywiązania i związku tego nie zechce, zastrzegam sobie, abyś jęj zostawił zupełną wolność i w domu pozwolił przebywać chociażby życie całe — i wówczas nawet, gdyby mnie tu już nie było.

— Zdaje się, że ty mi zaczynasz dyktować warunki; — zgryźliwie powiedział pan Albin. Uprzedzam cię, że straciłem zaufanie do twój zręczności od czasu pięknego interesu z ciotką d'Essé. Pamięć mam dobrą, przypominam sobie, żeś mi głowę zawracała nadzieją spadku — a cóż wynikło z téj podróży do Paryża. Mnóstwo wydatków, nieudane

małżeństwo i te kilka tysięcy franków, które wam zapisała jakby z litości, a których dotknąć mi niewolno. Istna obelga! Nie spisałaś się tamtym razem, moja biedna córko! Życzę ci większego powodzenia w nowych planach i umyвам sobie od nich ręce. Pozwalam tylko na przebywanie twój siostry pod moim dachem, byłem ją widywałem jak najrzadziej, byle mi nie robiła hałasu, nie grała na fortepianie i nierozwłóczyła robót po stole...

— Mogę zapewne rozpocząć czytanie? zapytała Sabina.

---

## V.

Deszcz padał, i to nie ów deszcz pożądaný wśród suszy, spływający na ziemię w wielkich kroplach i orzeźwiający drzewa i łąki, ale ten drobniuchny a gęsty deszcz późnej jesieni drażniący, nieużyteczny a bezustanny, słońce zastaje go raniem i zostawia wieczorem, chowając się za jednako szarą powłoką nieba. Liście powoli spadały na ziemię jedno po drugim, nie gwałtowną burzą strącane, ani też mieniące się rozmaitemi barwami jesiennego stroju, ale obwisłe, zeschnięte, jednako ciemne. I spadały ciężko deszczem przesiąknięte, aby zgnieć do reszty w błotnistych kałużach. Ptaszyny z opuszczonemi skrzydełkami i zmoczonem pierzem chowały się po krzakach, jaskółek już nie było—i tylko żaby i ślimaki panowały w tej najsmutniejszej z całego roku porze.



W la Rullière nie wysilono się na to, aby uczcić dzień powrotu Floruni, nawet natura przybrała najposępniejszą postać. Dziewczę stojąc przy oknie z czołem przylepionem do szyby, miało ochotę zapłakać jak płakało niebo. Smutno jój było w serduszku. Klasztor może się wydawać klatką, więzieniem, wygnaniem dla dziecka przywykłego do pieśszcot rodziców i dziadków, popsutego zbytkiem swobody i miłości, ale dla biednej sieroty, która nigdy nie знаła matki, a ojca widywała tylko obojętnym albo gniewnym, klasztor stanowił rodzinę, a niewinne rozrywki najwyższą uciechę. Sabina, przyjeżdżająca raz na rok, wydawała jój się jako starsza daleka jakaś ciotka a nie siostra; to też wróciwszy do domu czuła się w nim zupełnie obcą. Florunia miała naturę tkliwą i jak powój potrzebującą podpory. Inaczéj żyć nie umiała. Wyrwano ją nagle z ciepłego otoczenia w którym żyła lat kilka, wielką zyskując u wszystkich miłość przez swe sieroctwo i usposobienie łagodne i poetyczne—wyrwano ją, aby osadzić w pustym, ponurym zamku, gdzie spotykała tylko wiecznie nachmurzonego ojca i siostrę chłodną w obejściu, mimo najlepszego serca.

Trudno wyobrazić sobie dwie siostry mniej podobne do siebie, tak pod względem fizycznym jak moralnym. Zdawało się, że natura dla zabawki stworzyła w nich dwa najsprzeczniesze typy kobiecój urody. Sabinę obdarzyła przymiotami mężkami, gruntownymi, a dla siostry młodszéj zachowała czarującą mieszaninę niewieściéj prostoty, słabości i wdzięku, która mimowoli pociąga, za-

chwyca i rozbraja nawet przeciwnika. Sabina mogła wzbudzić sympatyą, która jednakże roztrącała się najczęściej o jej usposobienie. Poważano ją, podziwiano, przyznawano jej wysoką wartość moralną, lecz nie kochano. Głęboko czujące, niewyczerpane jej serce nie umiało swych uczuć wyrazić, podobne do żaru, który tli się sam w sobie nie rzucając światła i nie grzejąc nikogo. Należała ona do nieszczęśliwych istot, niepoznanych; ludzie z pozoru sądząc omawiają je o samolubstwo i oziębłość. Florunia zaś od pierwszego wejrzenia kazała się kochać. Jej usposobienie aż zanadto było uczuciowem, dusza cała odbijała się jak w zwierciadle w dużych jej oczach, które nie mając właściwie żadnej oznaczonej barwy, cochwila mieniły się inną; włosy zdawały się słońcu odkradać promyczek złoty, by lśnić nad jej czołem. Zachowała z dzieciństwa delikatny owal twarzy; płeć jej była przejrzystą jak biały listek róży, a usteczka żywiej zabarwione miały smętny wyraz, gdy nie rozchylił ich niewinny uśmiech. Największy jej powab to stanowiło, że całkiem nie wiedziała o swjej piękności.

Jej przybycie do starego zamku wprowadziło jakby tchnienie wiosny, jakby czarowny uśmiech wesela. Ale po dwóch dniach usta dziewczęcia już się nie śmiały. Ojciec zaledwie spojrzał na nią. — Niejesteś bardzo duża na twój wiek, — powiedział jakby do czteroletniego dziecka; a potem dodał: — Zawsze masz żółte włosy. To było wszystko. Sabina musiała powrócić do swoich zajęć i rachunków, zaniedbanych przez czas wyjazdu do Paryża,

nie mogła przeto o niej myśleć. Cóż więc było robić? Przejrzała książki siostry, ale były to same dzieła agronomiczne, których nie rozumiała ani trochę. Przeszła więc do salonu i, siedząc samotnie, otworzyła fortepian. Niegdyś grywała na nim jej matka, teraz klawisze były zażółkłe, a między strunami powyrastała pleśń z wilgoci, kilka było zerwanych. Florunia dotknęła klawiszy, lecz zabrzęczały tak żałośnie, iż dreszczem przejęta zamknęła napowrot fortepian. Wyjść nie było można—deszcz ciągle padał. Stała w oknie i długo patrzyła przed siebie. Dlaczegoż Sabina odebrała ją z klasztoru? Tutaj nikt jej nie kochał i nie potrzebował. Nie miała żadnych zatrudnień i obowiązków; — ze strachem przewidywała cały szereg dni bez celu, bez zajęcia. I w końcu łzy tak wezbrały pod powieką, że spływać zaczęły po twarzy. W pierwszej młodości bywają chwile niewytłumaczonego smutku i cierpienia, co może są przecuciem prawdziwych bólów życia, a może są tęsknotą serca rozwiniętego, które nie wie czego mu trzeba i czego pragnie.

A przytem widok roztaczający się przed jej oczyma tak był jednostajny a ponury, i niebo tak zachmurzone, że nie miała nawet ochoty ocierać zasłaniających go łąz.

Zamek de la Rullière był posepnym i nieestetycznym, ciężka jego budowa nigdzie nie była urozmaiconą ozdobami i zmianami; dwa rzędy wielkich okien regularnie szły za sobą, a nad niemi piętrzył się wysoki dach łupkowy. Na prawo i lewo, czworokątne tworząc podwórze, stały gospodarskie za-

budowania. Ciężka krata oddzielała dziedziniec od głównej drogi. Z drugiej zaś strony Florunia widziała ogród warzywny, z prostymi uliczkami jak pod linią z kwaterami kapusty, ogórków i innych jarzyn; a za tęp, jak oko zasięгло, pola świeżo zorane i zasiane, więc nagie, smutne. Wszystko zatem było tak jednostajne i szare pod osłoną deszczu, iż w końcu oczy przymknęła by nic nie widzieć.

Piasek skrzypnął pod czyjemiś krokami na podworzu. Dziewczę widziało przedtem chłopaków z folwarku i dziewczkę służebną, i teraz, z roztargnięciem patrząc na nowego przybysza, pomyślało sobie, że to zapewne także jakiś wieśniak.

A wyglądał dość dziwacznie. Na ramionach miał zarzucony płaszcz szeroki, po którym spływała woda; na głowie niski kapelusz filcowy, przykrywający włosy długie i jasne, jak broda w nieładzie rozrzucone; niósł w ręku koszyczek przykryty liśćmi, pod któremi Florunia dojrzała różę. Postępował szybko, naprzód pochylony. Florunia pomyślała sobie, że to pewnie jeden z dzierżawców folwarcznych; widziała że wszedł do przedsionka zamkowego i przestała się nim zajmować. Po chwili żywo odwróciła głowę, słysząc otwieranie drzwi od salonu.

Taż sama postać stała na progu z ustami otwartymi z zadziwienia. Woda jeszcze kapiała z jego zmoczonych sukien i z jego brody obwisłej jak u morskiego bożka; wielkie buty robiły czarne plamy na podłodze. W jednej ręce trzymał kapelusz, w drugiej koszyczek.

Chcąc przerobić tego człowieka na młodzieńca przynajmniej znośnego w salonie, trzeba by mu i krawca dać i fryzjera i na parę miesięcy wyprawić w świat między ludzi. Zdawało się, że pod każdym względem stracił miarę: miał długie nogi i ręce, i owal twarzy nacechowanej wyrazem zbliżonym prawie do naiwności. Jedna rzecz tylko zastanawiała w jego powierzchowności i wynadgradzała różne braki: czoło wyniosłe, szerokie, piękne — prawdziwe czoło marzyciela, poety. W tej jednak chwili takie zdumienie odbijało się w jego rysach, że Florunia nie mogła powstrzymać uśmiechu. A on ciągle patrzył na nią milczący, osłupiały.

— Pan sobie czegoś życzy?—w końcu zapytało dziewczę, widząc że zadługo przeciąga się oczekiwanie.

Głos jej wyrwał przybysza z osłupienia, w jakim pograżył go widok cudownego kwiatka żywego—a przecież przybysz ten godziny całe spędzał na przypatrywaniu się pączkom róży.

— Przepraszam—wyrzekł jakby z żalem—przyszędłem... sądziłem... Czy panna de la Rullière jest w domu?

— Jeżeli to o moją siostrę Sabinę chodzi, to jej zaraz poproszę,—odparła zakłopotana Florunia, nie wiedząc do jakiej kategorii ludzi zaliczyć nieznanomego, i czy prosić go by spoczął w salonie.

— O! bardzo dziękuję! mogę... mogę poczekać—wyjąkał, czerwieniąc się po uszy i chwiejąc jak pijany.

Podszedł do kominka, na którym się palił jasny ogień i usiadł nieśmiało na brzeżku krzesła. Koszyczek postawił przy sobie na ziemi i starannie przykrył go kapeluszem. Później ręce oparł na kolanach i dalej patrzył na Florunię jakby wsłuchany w dźwięki odległej pieśni. Dziewczynka nie domyślała się, że to jest przeznaczony jej przez siostrę narzeczony, wiedziała tylko, że wyglądał dziwacznie i—niemądrze.

Sabina już zdaleka witała gościa, wyciągając doń rękę:

— A, dzień dobry Jakubie—mówiła—spodziewam się, że odnowiliście znajomość z Florunią? —Przypominam sobie, że się go bałaś w dzieciństwie; lecz teraz będziecie przyjaciółmi dobrymi.

— Dziękuję! dziękuję za tę łaskę — odparł Jakub usiłując czuwać swobodę, przyczem zacierał wielkie czerwone ręce.

Usiedli koło kominka i rozmawiali zrazu o najświeższym i najważniejszym wypadku, to jest o podróży Sabiny do Paryża, a potem o deszczu, który stanowi niewyczerpany temat dla mieszkańców wsi.

Sabina spostrzegła koszyczek.

— Cóż tam masz? — zapytała. Róże? Daj je Floruni, a z pewnością zrobisz jej przyjemność.

Młodzieniec, posłuszny rozkazowi, podał kwiaty dziewczęciu, zostawiając w koszyku liście kapusty, w których można było jeszcze się czegoś domyślać.

— Już ostatnie róże tego roku; zaledwie ocaliłem je od deszczu; powiedział.

— A pierwsze kwiaty jakie widzę odkąd tu jestem; — z westchnieniem rzekła Florunia i tak

wdzięcznie dziękując, że po twarzy Jakuba przemknął jakby promyk radości.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Pan de la Rullière nie znosi tego rodzaju roślin,—powiedział. A dotem, jakby mimowoli, do samego siebie dodał cicho: a przecież w domu jego istnieje najczarowniejszy z kwiatów...

Przerwał, przestraszony swoją śmiałością. Florunia spojrzała na niego ze zdumieniem, za ledwie domyślając się, że do niej stosował te słowa. Ciągle dziwiła ją różnica między powierzchownością tego człowieka a jego słowami; podziw ten wzrastał w miarę przedłużającej się rozmowy. Rozliczne i głębokie wiadomości Jakuba zachwyciły ją. Był on prawdziwym myślicielem. Fenelon, Bernardin de Saint-Pierre, Chateaubriand, ulubieni przezeń autorowie, którzy więcej przemawiają do serca i wyobraźni niż do rozumu, stanowili jakgdyby stałe jego towarzystwo. W trzydziestu latach tak lubił powieści rycerskie jak w dzieciństwie cudowne baśni, opowiadane przez ciotkę Izabellę. Ciągle przebywając z ukochanymi bohaterami, w końcu wierzył, iż naprawdę istnieli kiedyś. I z głową tém przepelnioną błędził po swoich polach, nie przypuszczając, że sam mógł służyć za wyborny typ dla Cervantesa. Tego rodzaju wykształcenie było, ma się rozumieć, wadliwém, niejako zacofaném; brakło mu otarcia się z ludźmi, z różnemi przekonaniem i poglądami na postęp, ale zapał i uczucie spotęgowały się przez to i czekały tylko drobnej iskierki, by płomieniem wybuchnąć. Jakub des Allais, wiodąc życie skromne, ciche, mało z aso-

bów i rozmaitości przedstawiające, marzył o wzniosłym ideale. Pragnął zbliżyć się podobieństwem do szlachetnych wielkich bohaterów; to też pan de la Rullière zarzucał mu otwarcie zbytek poezji w postępowaniu i gospodarstwie. Tak było istotnie.

Sabina nigdy nie mogła go pojąć i nazywała marzycielem. Florunia lepiej odgadła to serce i niewyczerpane skarby zawartego w niem zapału do poświęceń. Jakub robił na nią wrażenie istoty choréj, którą trzeba otaczać słodyczą i współczuciem.

Głos jéj bezwiednie przyjmował dźwięk miękki, pieśczośliwy, gdy zwracała się do niego; a Jakub, szczęśliwy jak nigdy, swobodnie roztaczał cały zasób skarbów serca i umysłu. Był zajmującym, wzniosłym, świetnym. Sabina nie poznawała go i w duchu już cieszyła się znakomitym pomysłem połączenia tych dwojga istot. Zdawało jéj się, że już widzi ich w związku małżeńskim, i tylko jednym uchem słuchała ich rozmowy, która mało przedstawiała dla niéj zajęcia. Rozprawiano bowiem o książkach, niewyczerpanym przedmiocie dla Jakuba, a w tém właśnie najbardziej dały się uczuć braki wykształcenia Sabiny.

Wieczór już zapadał, szarzało zwolna — tylko ogień płonący na kominku oświecał salon. Florunia ciągle słuchała Jakuba i potrochu zapominała o jego zabłoconych butach, czerwonych rękach i wyblakłych oczach. Słuchała i uśmiechała się zlekka, wachając róże, które rozkoszną woń roztaczały.



Po chwili uwagę jęj zwróciło delikatne poruszenie się sukni; instynktownie rękę wysunęła, aby do siebie pociągnąć fałdy, lecz raptownie cofnęła ją napowrót i z krzykiem przestrachu skoczyła. Długie białe smugi, przy świetle ogniska błyszczące jak srebrne nici, zasnuwały jęj czarny pensyonarski mundurek — przynajmniej tuzin ślimaczych skorupiek przechadzał się po jęj sukni.

Jakub krzyknął rozpaczliwie i, czerwieniąc się jak uczeń na gorącym uczynku schwytyany, rzucił się na koszyczek. Ślimaki porozrzucały liście i spacerowały najpierw po kapeluszu; a potem, zamało na nim mając miejsca, rozpierzchły się po dywanie i bliższych przedmiotach.

Jakub błagalnie spojrział na Sabinę.

— Przepraszam najmocniej! — rzekł nieśmiało. Pochowały się do skorupiek — nie przypuszczałem nigdy, aby ciepło je tak zwabiło... A pani wiesz... że zbieram je na syrop dla ciotki Izabelli.

Do Sabiny się zwrócił, bo przeczuwał, że mniej będzie wyrozumiałą niż młodsza siostra. I nie pomylił się.

— Przekłęte ślimaki! — mruknęła ona nie mogąc się powstrzymać — wszystko popsują!

— Oh nie! — z naiwnością odpowiedział Jakub — nie zrobią szkody — dość zmyć wodą.

Ale Sabina nie o dywanie myślała.

— Mogłeś pan być zostawić je w przedpoкою — mówiła ostro, jakby napominając niegrzeczne dziecko.

— Bardzo przepraszam! — znów wybąknął Jakub.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że Florunia żałowała do Sabiny za jej surowość, to też gdy zwrócił się z kolei do niej o przebaczenie prosząc, dziewczę poszło za popędem serca i wyciągnęło do gościa rękę. Młodzieniec trwożliwie ujął jej paluszki i trzymał jej lekko—nie śmiejąc uścisnąć. A Florunia, wzruszona, odwróciła się płonąć jak różyczka.

— Aby dowieść panu, że nie gniewam się o to—powiedziała z uśmiechem — pomogę mu schwytać tych nieszczęśliwych zbiegów.

I Sabina, widząc jak oboje uganiaли się za ślimakami, i słysząc: to srebrny śmiech dziewczynki, to niezręczne wymówki Jakuba—pomyślała w końcu: Może prawdę mówił, że ślimaki nic nie popsuły.

---

## VI.

Nazajutrz rano słaby promyczek słońca usiłował przebić się przez dżdżystą zasłonę, która otaczała ziemię; błyszczał blado, podobny do uśmiechu zjawiającego się wśród łez. Ziemia lśniła tysiącem dyamencików, które deszcz po niej w swych kroplach rozrzucił. Weselęj było na świecie: koguty piałły, ptaszyny otrząsały zmoknięte skrzydełka i podlatywały podnosząc główki; nawet motyl z kądeś się pojawił, pofruwał trochę, lecz wkrótce zimnem dotknięty spadł na ziemię, razem z suchymi liśćmi.

Sabina po śniadaniu, gdy ojciec wyszedł, powiedziała Floruni, że skorzystają z pogody aby odwiedzić sąsiadów des Allais.—Każe zaprządz do

mojego kabrioletu — mówiła — pojedziemy. Lecz jeżeli masz ochotę przejść się trochę, to idź topolową aleją, prosto — niepodobna abyś zabłądziła. Ja cię dogonię.

Florunia z radością przyjęła tę propozycją, szczęśliwa że czemśkolwiek się rozerwie. Nudy, na które skazaną była w rodzicielskim domu, ciążyły jej jak ciężki płaszcz krępujący swobodę ruchów.

Park w la Rullière musiał być pięknym w przeszłości, bo nawet dziś jeszcze przedstawiał się wspaniale i poetycznie, mimo praktycznych zmian jakie wprowadzał pan Albin. Władza jego niewszędzie sięgała. Nie mógł zabronić kasztanom wyrosnąć w wyniosłe drzewa, których gałęzie splatały się w górze, tworząc latem jakby sklepienie gotyckie; i na trawnikach nie mógł zniszczyć aksamitnego dywana zieleni ubarwionej tysiącem kwiatów na wiosnę, z którymi przecież walczył uparcie—bo zanieczyszczały siano. Rzekę, w wązkich wstęgach kręcącą się wpośród olszyny, chciał zamienić na kanał i uwięzić w prostym szerokim łożysku, ale górską pani zbuntowała się przeciw niewoli, i, przywołując stopniałe śniegi na pomoc, pewnego ranka na wiosnę pozrywała groble i brzegi, poroznosiła tu i owdzie piaski i kamienie, tworząc malownicze wodospady. Pan Albin kazał wprawdzie pozbierać co się dało ze zmarnowanego materiału, ażeby ponaprawiać nim drogi, ale z rzeką zaniechał dalszej wojny, przeczuwając drugą porażkę. I w dniach tych wody wezbrane deszczem znowu szemrały swą pieśń zwycięstwa. Igrając z lasem pożółkłej trzciny. Na piaskach na d

brzeźnych trzepotały się pliszki, i dzikie kaczki gromadnie bujały w powietrzu. Florunia postępowała zwolna, stopami podrzucając martwe liście, grubą warstwą leżące na ziemi — i słuchała cicho szmerających kropel, co spadały z traw i gałązek. Ten smętny obraz natury dla niej miał wiele uroku; zgadzał się z jej głęboko uczuciowem usposobieniem.

Nagle jakiś głos wyrwał ją z marzeń.

— At, nie myślę się! moja córka chrzestna, — zawołano.

Dziewczynka nie widziała nikogo przed sobą i nie słyszała odgłosu kroków, bo szum wody je głuszył. Odwróciła się zatem żywo i spostrzegła nieopodal myśliwego z torbą przy boku i fuzyą przez ramię przewieszoną.

Czyż to był mężczyzna?

Włosy krótkie i gładko przyczesane były na pół siwe. Długie aż do kolan ubranie okrywało cienką, wysmukłą postać; skórzane kamasze osłaniały chude nogi, a stopy niezwykle małe ginęły w gróbych butach; mały kapelusik tkwił na głowie téj zagadkowej osobistości z twarzą bez najmniejszego zarostu i z żywo migającymi oczyma. Myśliwy bez ceremonii zbliżył się do Floruni i, podając rękę, wycisnął dwa pocałunki na jej policzkach.

— Jakże się miewasz, moja mała? — zapytał. usiłując widocznie przybrać ton mężczyzny.

Dziewczę jak przez mgłę rozpoznawało twarz, a nie mogło przypomnieć sobie chrzestnego ojca. Z niejakiem więc wahaniem odparło:

— Dobrze; dziękuję ci, mój ojczy chrzestny. Myśliwy wybuchnął śmiechem, z którego nie ochłonął jeszcze gdy w alei pokazał się kabriolet. Sabina kazała zatrzymać konie.

— A, my właśnie do pani się wybrałyśmy! — zawołała. Proszę zawrócić z nami— pomieścimy się wszystkie; zresztą Florunia może usiąść na kolonach pani.

— Sabino,— z nieśmiałością powiedziała dziewczynka—nie przedstawiłaś mnie temu... temu panu.

Teraz i Sabina roześmiała się serdecznie.

— Ten pan jest twoją matką chrzestną, panną Teresą des Allais—oznajmiła.—Zrobiłaś jej wielką przyjemność biorąc ją za mężczyznę, starała się bowiem za to uchodzić. — Nieprawdaż, pani?

— A ciekawam za co ty chcesz uchodzić w swoich bufiastych strojach? sucho odparła stara panna.

— Dajmy dziś pokój sprzeczkom—rzekła Sabina dotknięta na punkcie jedyniej słabostki. Przecież jesteśmy przyjaciółkami, czemuż więc Florunia ma sobie wyobrażać, iż w niezgodzie żyjemy?

Ale nie pomogły usiłowania Sabiny, rozmowa ciągle była zamianą drobnych docinków. Florunia tymczasem ciągle patrzyła na Teresę milcząca, nie mogąc oswoić się z jej dziwacznym przebraniem. W twarzy stariej panny był jakby wyraz chytrłości, który jej się nie podobał, i oczy jej, błyszcząc żywo, nie odbijały ani cienia dobroci. W tym jednak względzie Florunia zupełnie się myliła—panna Teresa była bardzo dobrą; pierwsze przecież wrażenie było niekorzystne a tak silne, że nie zatarło się nigdy.

Dziewczynka wkrótce znużyła się słuchając rozmowy i uwagę skierowała na roztaczający się przed nią widok.

Przywołując zatarte wspomnienia z dzieciństwa, rozpoznawała potrochu długie ulice, młyn stary, i błękitnawe kontury oddalonych wzgórz.

Droga prowadziła przez lasek jodłowy. Wolant posuwał się zwolna, grzęząc w czerwonym błocie. Słońce przedzierało się przez gałęzie i na mchu skropionym błyszczało jakby szmaragdy. Wiewiórki skakały po drzewach, sroki skrzeczały w gęstwinie, woń żywiczna rozchodziła się dokoła.

— Jak tu ładnie!—szepnęła Florunia.

W krzakach coś się poruszyło.

— A! kuropatwa!—wykrzyknęła panna Teresa.

I jednym skokiem już była na ziemi z fuzyą w ręku. Strzeliła.

Nie zawiadło ją oko; ofiarę swą, drżącą jeszcze, podniosła i ze spokojem rozpatrywała.

— Czerwone łapki, młoda—wyborna!—mówiła z zadowoleniem—strzał wyśmienity! No, weź ją sobie ty mała—będzie to pierwszy podarunek od matki chrzestnej; zjedz ją za moje zdrowie. Jedźcie dalej—dodała zwracając się do Sabiny—wolę iść piechotą i bocznymi ścieżkami będę w domu równie jak wy prędko.

Rzuciła kuropatwę na kolana Floruni, ze wstrętem cofającej się mimowoli. Krew powalała sukienkę, a dziewczę nieśmiało ruszyć ptaka, bo jej się zdawało, że jeszcze patrzy na nią ze smutkiem.

— Sabino!—wyrzekła zcicha, gdy zostały same.

— Czegóż chcesz?

— Ach, czyż to nie okrucieństwo?

— Nie bądź-no zanadto uczuciową! Żywych przecie jeść nie można.

— Ale mnie się wydaje, że dla zabawki zadawać ból jakimukolwiek stworzeniu, to niegodnym jest kobiety.

— Dobralibyście się z Jakubem, jak widzę; on ma zupełnie takie same przekonania. Ale starych panien nie można znów surowo sądzić; nigdy nie kochały — trzeba im wszystko przebaczyć... Przerwała nie dokończywszy; głos jej wzruszony brzmiał dziwnie—Florunia patrzyła na nią zdumiona. Czy wspomnienia tak ją rozrzewniły, czy żal? — zapytywała się w duchu, nie znając przeszłości siostry. I widząc jej zmieszanie i tkliwość we wzroku, tak sprzeczną ze zwykłym wyrazem, do tego przyszła wniosku, że Sabina kochała dawniej — a może kochała jeszcze.

Za lasem natychmiast pokazał się zamek. Panna Izabella nazywała go *castel des Allais*. Niedługo, przed laty, musiał on istotnie wyglądać wspaniale: stał na wzgórzu i otoczony był wałami jak forteca. Zburzony podczas rewolucyi, został odbudowanym w 1839 roku, w modnym naówczas stylu niby gotyckim; teraz nader zabawnie wyglądał ze swojemi arkadami, wypieszczonemi wieżyczkami i framugami, w których stały różne posążki. Florunia, obdarzona poczuciem piękna, nie mogła ukryć zadziwienia, tak raziła ją dziwaczna powierzchowność gmachu.

— Czy to jest zamek des Allais? pytała siostry. Sabina potwierdzająco skinęła głową.

— Ależ to podobne do dziecinnéj zabawki z papieru ulepionéj! A pan Jakub z taką dumą wyraża się o nim.

— Dlaczegożby inaczej być miało? oschle odparła Sabina. Przodkowie jego zamieszkiwali tu od niepamiętnych czasów, a gdy serce do jakiegoś przedmiotu silnie jest przywiązaném, to nie bierze w rachubę jego piękności lub brzydoty; — mówiła zupełnie zmienionym tonem. — Wówczas uczucie wszystko zastępuje.

Florunia znów spojrzała na nią ciekawie. Czyżby kochała Jakuba? pomyślała sobie, lecz zapytać nie śmiała. I przypuszczenie to po dłuższym namyśle stało się zupełną pewnością dla dziewczynki; wszakżeż Sabina od dzieciństwa znała się z Jakubem. Ale czemu się nie pobrali?...

Sabina, jako dobra znajoma, bez ceremonii weszła prosto do pokojów zamieszkiwanych przez pannę Izabellę, która, jak gołąb, wybrała sobie jedną z wież zamkowych na miejsce pobytu. Najstarsza z rodziny, przedstawiała władzę i powagę najwyższą. Jakub czcił ją nieledwie, a siostra młodszą, pełną stanowczości i energii, nielubiącą posłuszeństwa, nie śmiała mimo to nic przedsięwziąć bez jej rady. Panna Izabella, z natury łagodna i cicha, przyjmowała te hołdy z rodzajem jakby zawstydzenia; ale nie stawiała im oporu, bo przywykła do szanowania każdego uświęconego zwyczaju. W tym więc szczególnym domu wszyscy słuchali, choć właściwie nikt nie rozkazywał.

Sabina wprowadziła Florunię do owalnego saloniku z sufitem w złote gwiazdy. Promienie słońca



przekradając się przez malowane szyby, roztaczały jakieś tajemnicze światło i fantastycznie oświecały obicia na ścianach, na których powtarzał się bez końca rycerz uzbrojony od stóp do głowy, różę podający damie w niebieskiej sukni, i trubadur na gitarze grający. Meble zaś, starannie dobrane, przedstawiały dziwaczne zabytki z czasów restauracji.

W kącie przy kominku stał fotel wysoki, wyściełany i od reszty pokoju oddzielony parawanikiem; tam Florunia spostrzegła staruszkę drobną, szczupłą, bledziutką, w której domyśliła się starszej panny des Allais. Długie loki, niegdyś zapewne jasne-blond, dziś białawe, otaczały jej bezbarwną twarzyczkę, kryjąc się w części pod czepekkiem przybranym kwiatami.

Panna Izabella przyjęła dziewczynkę z należytą godnością i łaskawą dobrocią. Słowa jej płynęły jednostajnie i drobniutko, jakby szczebiotanie turkawki. Kazała Floruni zbliżyć się do ognia.

— Dziś taka wilgoć na dworze!—mówiła z lekkim dreszczem. Czy pewną jesteś moje dziecko, żeś nóg nie zamoczyła? A, jakżeś podobna do matki nieboszczki! Przygotuję ci filiżankę moich ziółek, dla zabezpieczenia od kataru. Gdyś była dzieckiem bardzo lubiłaś moje pastylki pomarańczowe, przypominam sobie.

Na rzeźbionym pulpicie leżał przy niej roztworzony kajet.

— Widzisz, moja droga—rzekła do Sabiny—że zawsze muzom się poświęcam w mojej samotności.

I zwracając się do Floruni zapytała: Czy wyrażasz kiedy twoje uczucia językiem bogów?

— Ach pani! dość musiałam sobie zadawać trudu, by je poprawnie wyrazić zwyczajną mową; trochę złośliwie odparło dziewczę.

— Ja bo nienawidzę prozy—odparła panna Izabella. Najmniejszy wypadek usiłuję poezją otoczyć i wierszem wysławić. To rzecz tak łatwa! A czasem i melodye dobieram do sonetów, które potem Jakub wygrywa na flecie. Trzeba ci wiedzieć, moje dziecko, że on gra bardzo ładnie — tylko przez skromność popisywać się nie chce. Umie też poezye tworzyć i pewno nie omieszka na twoją cześć także coś napisać...

Panna Izabella jeszcze dłużej mówiła w tym sensie, a zawsze w sposób przypominający wodę równiutko po kropli ciekącą. Florunia w końcu nie słuchała jej wcale. Jakub przyszedł po jakimś czasie, ale nie ożywił rozmowy; trzymał się na uboczu i tylko wyblakłemi oczyma śledził każdy ruch Floruni. Sabina zaś z Teresą, według zwyczaju, prowadziły jedną ze swoich docinkowych sprzeczek.

To też dziewczę, po wszystkich wodząc oczyma, pomyślało sobie, że jest to zbiór najnudniejszych i najdziwaczniejszych osób, jakie widziała kiedykolwiek w życiu.

Gdy napowrót znalazły się w jodłowym lasku, odetchnęła swobodnie.

Sabina była milcząca, przeczuwała wrażenie, które Florunia z tych odwiedzin wyniosła.

— Sabino—w końcu zaczęło dziewczę przerywając ciszę — czy wszyscy nasi sąsiedzi są w tym rodzaju?

— Wszyscy nasi sąsiedzi?... przypuszczasz więc, że ich mamy więcej? a trzeba ci przecież wiedzieć, że oprócz dwóch czy trzech rodzin szlacheckich, z którymi ojciec się pogniewał, w tej okolicy mieszkają sami wieśniacy.

— Należy zatem poprzestawać na towarzystwie mojej okrutnej matki chrzestnej i siostry jej o poezyi prawiącej — westchnęła Florunia — i żyć z niemi, albo być samą... zawsze samą!?

— A czyż ja nie takie życie prowadzę?—trochę ostro rzekła Sabina, i odsunęła siostrę. Słuchaj-no, dziecko—mówiła dalej— ja układnych słówek prawić nie umiem; jeżeli więc nie odgadujesz jak cię kocham, to dużo na tém tracisz—choć moje uczucie nie zmienia się przez to i nie słabnie! Bawić się tu nie będziesz, to rzecz oczywista. Nie mam czasu zajmować się tobą, mieszkamy na ustroniu— więc może jeszcze nudniej ci będzie niż w klasztorze; ale bądź przekonana, że sprowadziłam cię do domu, pragnąc twego szczęścia. I ja widzę śmiešności i dziwactwa tych ludzi, i nie przeczę, że można przyjemniejszych znaleźć; usiłuj jednak zamknąć oczy na ich błędy a patrzaj tylko na przymioty, w końcu, ręczę ci za to, będziesz z nimi szczęśliwą.

Florunia smutnie potrząsnęła główką. Postanowiła wszakże pobłażliwie sądzić Jakuba, razem z jego fletem i ślimakami, aby przyzwyczać się do tej myśli, iż kiedyś powita w nim swego szwagra.

## VII.

Pola spoczywały pod białą ze śniegu osłoną, gdzieś tam upstrzoną gromadami wron; woda w jeziorku stanęła mrozem ścięta; słońce, blado świecące na jasnym lazurze nieba, olśniewało naturę, nie ogrzewając jej przecież. Jakub przechadzał się wśród jesionów odartych z liści i ciemnozielonych jodeł śniegiem przysypanych, wyszukując śladów drobnych stóp na śniegu wyciśniętych.

On, jak Sabina, nie znał właściwej młodości, choć z innych powodów: u niej usposobienie poważne i praktyczne, oraz warunki w jakich żyła, z dziecka stworzyły odrazu kobietę; u niego zaś dzieciństwo przedłużyło się aż do zupełnej dojrzałości. Wychowanie jego powierzonym zostało dwóm starszym pannom, które wyrzekły się małżeństwa, aby nie rozdrabniać na części majątku brata. Cała miłość tych serc zlała się na jedyne dziecko, ich siostrzeńca. Ale wychowanie czysto kobiece niedostatecznym a nawet szkodliwym jest dla mężczyzny. Jakub miał też wiele braków obok przymiotów, z którymi na świat przyszedł: głęboka wiara łączyła się u niego z dziecinnymi przesądami, nadzwyczajna tkliwość uczucia ze wstydlivością pensyonarki, a przede wszystkim nie znał życia, jego walk i trudów. Ojciec samowładnie zarządzał domem i majątkiem, w nic nie wtajemniczając syna, któremu wydzielał pensyjkę skromną. Jakub niczemu nie stawiał oporu, przyzwyczajony do posłuszeństwa.

Gdy zaś po śmierci pana des Allais znalazł się nagle posiadaczem wcale pięknych włości, a têmesamém i głową domu—w niczém sobie radzić nieumiał mimo lat trzydziestu. Pobiegł więc naprzód do ciotki Izabelli, która także o interesach nie miała pojęcia, potem do Teresy energiczniejszej—i w końcu przed rejentem ułożyli się z dzierżawcami. Jakub nadal nic nie robił, swobodnie używając bezczynności i spokoju, z któremi zżył się od dzieciństwa.

Czuł się zupełnie szczęśliwym ten rodzaj życia prowadząc, dopóki nie poznał Floruni. Książki i rojenia całkowicie mu wystarczały. Ciotki podsuwały mu wprawdzie razy kilka myśl o małżeństwie, nieśmiało przypominając, że obowiązek ma starać się o to, by nie wygasła ich familia; ale Jakub, serce trzymając w uśpieniu, zawsze odpowiadał, że dość jeszcze na to czasu. Stare panny przez dobroć nie nalegały. Co prawda, obawiały się one wprowadzenia istoty obcej do cichego ich ogniska. Sabina, jedyna osoba którąby chętnie były przyjęły, już nie była wolną, jak o tém wiedziały; pozostawała tylko Florunia. I w téj to pokładały nadzieję, zamierzając urobić ją według własnej woli. Wśród tych planów ani na chwilę nie przypuszczały, aby dziewczeczka nie oceniła i nie pokochała ich wychowanka?

Z radością zatem pielęgnowały ten zamiar w duszy, a Jakub, wiedząc o nim, bardziej jeszcze mieszał się wobec dziewczęcia, które mogło kiedyś zostać jego żoną. Sama ta myśl wywoływała ru-

mieniec na jego lica; bo mu się zdawało, że Florunia jest istotą tak nadziemską, że samo tchnienie miłosne byłoby dla niej zniewagą.

A przecież kochał ją szalenie. Wszystkie jego rojenia i sny bezcelowe pierzchły na jej widok, jak cienie nocy przed powstającą jutrzenką. Miłość była pierwszą rzeczywistością dla tego umysłu rozbijałego, i uczucie, które w jego sercu się zbudziło, gorącym było jak pragnienia w duszy tkwiące.

Od chwili jak zobaczył Florunię, tak poetycznie piękną i uroczą w całym blasku pierwszej młodości, oddał jej serce. Ona była uosobieniem rojonego przezeń ideału. Nie troszczył się nawet zbyt o to, czy nawzajem pokochanym będzie. Wiedział, że jest niezręcznym, roztargnionym, brzydkim, nieznającym form i zwyczajów świata; ona sama nieraz dawała mu poznać jego bezustanne zapominanie się i bezużyteczność wielu jego zajęć. Widywali się nieledwie codziennie i wywiązał się między nimi stosunek dość szczerzy i przyjacielski.

Całe życie Jakuba skupiało się w tych chwilach, gdy przy niej się znajdował, ona zaś, nie domyślając się jakiego uwielbienia była przedmiotem, niekiedy przybierała rolę starszej siostry — i mówiła mu gorzką prawdę. A potem, widząc jego niešťęśliwą, strapioną minę, aby wynagrodzić okrutną szczerść, odzywała się do niego jak do dziecka lub chorego. Tak mało było mu potrzeba do szczęścia! Wystarczało dlań gdy przebywał z ukochaną i patrzeć mógł w nią dowoli, gdy mógł chodzić za nią po spacerach i podawać jej kwiaty, które

przypinała do boku, — a które potem on zbierał jak świętą relikwią, gdy je odrzuciła zwiędnięte. Nie marzył nawet o tём by wyznać jój swą miłość, zdawało mu się zresztą, że nie miałby nato potrzebnej odwagi.

Dnia tego wiedział, że Florunia przyjdzie. Poprzednio kiedyś przyjęła nieśmiałą jego propozycją, iż książek pożyczać jój będzie—i właśnie miała odnieść przeczytane. A Jakub ośmielił się niekiedy podkreślać w nich wybitniejsze ustępy, z których dziewczę miało dorozumieć się jego uczuć. Niecierpliwie czekał zatem, po lasku się przechadzając, ale gdy zdała zobaczył główkę jasną w futrzanej czapeczce — chciał się gdzieś ukryć, strachem przejęty. Bo cóżby jój powiedział. Skoczył za gęste krzaki jałowcu i dopiero gdy go już prawie minęła, nie widząc—rękę wysunął ze zwykłym podarunkiem: z kilkoma alpejskimi fiołkami, które wyhodował dla niej.

Dziewczynka drgnęła z przestachu.

— Ach, to pan! Przeraziłeś mnie; powiedziała.

— Przeraziłem! —powtórzył smutnie. Strach— to pierwsze uczucie, jakie obudzałem w pani gdyś była maleńką; czy sobie to przypominasz? Mówił, niebardzo zastanawiając się nad własnymi słowami. Jestem bardzo nieszczęśliwy... nie umiem w tobie innych uczuć wzniecić...

Florunia mimowoli uśmiechnęła się.

— O! tyle lat już upłynęło od owego czasu, żem nabyła dosyć odwagi—odparła. Patrzaj! Sama przychodzę, bez towarzystwa i opieki. Dziś już się ciebie nie boję, mój dobry Jakubie; przeciwnie —

mam dla ciebie wiele życzliwości i szczerze wdzięczną ci jestem za kwiatki i za tę grubą księgę, którą odnoszę.

— Czyś pani ją przeczytała?

— Od początku do końca — i z wielkiem zajęciem.

Jakub oniemiał. Ból ścisnął mu serce. Więc ona przeczytała wszystko i nie rozumiała go wcale!...

— Chcę właśnie prosić pana o inną; naturalnie mówiło dziewczę.

— Dobrze—jestem na pani usługi — odpowiedział Jakub, rozpaczony w głębi duszy.

W milczeniu obok niej postępował. Cóż mógł jój powiedzieć?

W ten sposób minęli coś na kształt zwodzonego mostu, który do zamku prowadził i przeszli przez jeden z dziedzińców. Gdy stanęli przy napół otwartej bramie, uszu ich doleciały gwałtowne krzyki i piski najrozmaitszego drobiu, zmieszane z głośnem nawoływaniem ludzkim. Jakub zatrzymał się, nie wiedząc co dalej czynić.

— Cóż to jest? zapytała Florunia.

— To zapewne... to zapewne...

Wahał się, a później, jakgdyby nagłe robiąc postanowienie, jednym pchnięciem otworzył bramę—i Florunia zobaczyła swoją matkę chrestną, zapalczywie uganiającą się po małym podwórzu za rozpierzchłym na wszystkie strony drobiem. Jój twarz zaczerwieniła się z zimna i gniewu, — śnieg skopany wskazywał, że gonitwa dawno już trwała. Jakub, nie namyślając się długo, pobiegł jój na



pomoc; skakał, napędzał, i we dwoje w końcu odnieśli zwycięstwo. Zmęczona panna Teresa natychmiast skryła się za drzwiami swego pokoju, nie zauważywszy nawet obecności Floruni; a Jakub w chwilę potem wrócił do opuszczonej towarzyszkii. Tak zabawnie wyglądał z rozrzuconą brodą, krawatem rozwiązanym i zbakierowanym kapeluszem, pod którym siadywały ślimaki, że dziewczynka nie mogła powstrzymać złośliwego uśmiechu. Ale Jakub spojrział na nią tak boleśnie, że wzrok ten ją wzruszył—malowała się w nim głęboka wymówka.

— Śmiejesz się pani, — rzekł bardzo cicho. Wiem, że w oczach twoich jestem nieskończenie śmiesznym... Niestety! jest to jedyne uczucie jakie w tobie wzbudzam dziś, gdy się przestałaś mnie lękać. A nie zgadniesz nigdy... nigdy nie pojmiesz... tak, próżno mówić o tém. Jestem bardzo nieszczęśliwym!...

Raptownie zwrócił się do zamku i postępował naprzód z dziwném roztargnieniem, jakgdyby zapomniiał o Floruni idącej za nim w milczeniu. Gdy przybyli do przedsionka, otworzył drzwi, które dziewczynka dotąd zawsze widywała zamkniętymi—i zwrócił się do niej:

— To jest mój pokój—powiedział. Masz pani tu wszystkie książki—wybieraj!

I, zostawiając ją własnemu losowi, siadł przy kominku, w dłoniach ukrywając głowę.

Florunia zatrzymała się na progu. Coś niewytłumaczonego ją powstrzymywało. Jakub mimo swój niezgrabności i brzydoty był człowiekiem

młodym i nieżonatym, a do niej odzywał się nieraz tak pięknie i poetycznie, że mimowoli w jej główce rodziły się marzenia. Zresztą, miała lat siedmnaście i wychowaną była w klasztorze—a teraz pierwszy raz miała wejść sama do mieszkania mężczyzny. Z nieśmiałością poglądała dokoła. Pokój ten był to istny przybytek poety. W malowniczym nieładzie mieszały się tam staroświeckie zbroje, obrazy, szczątki znakomitej rzeźby i odwieczne meble; — wszystko to przedmioty ocalone z ruin dawnego zamku. Na stoliczkach i oknach stały kwiaty w porcelanowych i kryształowych wazonach, wiele z nich kwitło, odurzającą woń roztańczając. Między temi gaikami zieleni, fantastycznie były rozrzucone muszle, gniazda ptasie i mchy rzadkie. Ptaki świegotały w prostej klatce, na perskim dywanie przed kominkiem leżała duża, biała jak śnieg kotka, z wielkim chartem w zgodzie; wszędzie widać było książki porozkładane i wsparte jedne na drugich, jakby dla wzajemnego powierzenia sobie tajemnic.

Florunia ciągle stała—niepewna co czynić, Jakub milczał — widocznie boleśnie go zraniła. Żal przejmował jej serduszko, litość pokonała w końcu skrupuły i zakłopotanie. Cichutko i wolno zbliżyła się do niego, a ponieważ był odwróconym i nie widział jej — więc rękę zlekka oparła na jego ramieniu.

— Jakubiel rzekła słodkim głosem. Jakubie, zrobiłam ci przykrość; przebacz mi!

Nieruszył się i głowy nie podniósł, lecz Florunia zobaczyła łzy spływające po jego twarzy.

— Cóż ci jest, Jakubie? zapytała z niepokojem. Czyś naprawdę tak nieszczęśliwy? Powiedz mi twe zmartwienie, jak rodzonej siostrze.

Słowa jej nie pomagały.

— Czy to ja zrobiłam ci tak wielką przykrość? Powiedz, a poprawię się i nigdy już tego nie będzie. Widzisz — nie mogłam powstrzymać się od śmiechu, ale nie miałam zamiaru dokuczania ci, chyba nie wątpisz o tém... No powiedz, że się niegniewasz i lubisz mnie trochę?

— Lubię?... O Floruniu, czyż ty nic nie widzisz?

I podniósł ku niej twarz dziwnie zmienioną, z oczyma łez pełnemi, i ręce złożył jak do modlitwy. Miłość jak burza nad głową jego przeszła, unosząc z sobą zwykłą jego nieśmiałość i powściągliwość.

— Kocham cię jak szaleniec, — wyjąkał. Wszystko możesz ze mnie uczynić — niewolnika, sługę; możesz zdeptać mnie lub wyśmiać jak waryata, lecz miłości, która się stała mojem życiem, nie wyrwiesz mi z serca! Widzisz, że płaczę. A wiesz dlaczego? nie o to mi chodzi, że ci się wydaję zabawnym, nieokrzesanym nieledwie, ale to mi łyzy wyciska, żeś mię nie zrozumiała. W książce, którą ci dałem do czytania, była część moich wyznań — przypuszczałem, że je odgadniesz. Gorączka mnie paliła przez tych dni kilka, ciągle powtarzałem sobie: ona musi pojąć dlaczego drżącą ręką zakreśliłem te ustępy — a tyś nic nie zrozumiała! Jestem ci więc zupełnie obojętnym?

Dziewczę przerwać mu chciało.

— O, pozwól mi mówić!—zaczął znowu. Może-  
bym się nie zdobył na tyle odwagi drugi raz  
w życiu. Gdybyś ty wiedziała o czem ja marzyć,  
śmiałem! Serce moje podobném było do widoku  
zimowego, który śpi martwy pod lodowym całunem—  
tyś zajaśniała dla mnie, jak słońce wiosenne  
dla ziemi—i obudziła do życia. Wszystko, co nie-  
gdyś kochałem i wielbiłem, wszystko w tobie się  
mieści. Jam ciebie przeczuwał w tchnieniu wiosny  
przeczuwałem cię w śpiewie słowika, w cudownym  
błękitcie nieba i srebrnych księżycy blaskach! Słu-  
chając twego głosu i patrząc na ciebie zda mi się,  
że słyszę i widzę wszystkie te piękności i czary,  
tylko jeszcze wznioślejsze i czystsze. I czy wierzysz,  
Floruniu, najdroższy mój ideale, czy wierzysz, żem  
śmiał marzyć, iż zostaniesz moją? Oh, nie odpy-  
chaj mnie ze wzgardą i nie uciekaj ode mnie! Jest  
to szaleństwem, ale nie winą. Wiem o tém i bła-  
gam cię tylko o litość. Wiem również, że jestem  
istotą upośledzoną, śmieszną i bezużyteczną; jeżeli  
więc nie możesz mnie pokochać, znaj przynajmniej  
uczucia które obudziłaś.

Florunia słuchała go zmieszana, drżąca. Pełne  
ognia jego słowa obijały się o jęj uszy, jakgdyby  
śpiew dźwięczący w oddali. Jakub, nie wywołując  
w niej przywiązania, pierwszy nauczył ją, iż istnieją  
uczucia silne, głębokie, obejmujące całą istotność  
człowieka — uczucia, które i ona kiedyś zapewne  
poznać miała, a teraz mimowoli marzyła o nich.

Jakub widząc, że dziewczę słucha go zarumie-  
nione i milczące, nabierał odwagi.

— Floruniu, mój aniele, może mnie cieszyć się a nie rozpaczać? wyszeptał.

— Ach, nie wiem.. nie wiem! Tu wszystko tak dla mnie dziwne.. niespodziane.. odparła cicho.

Lecz natychmiast, za 'popędem wewnętrznego idąc głosu, który więcej mieszał ją niż mowa Jakubą, dodała: — Ach, jak ty musisz być szczęśliwym! I czemu się skarżysz? To tak rozkosznie musi być szczęście swe znajdować w istocie drugiej — żyć jej życiem, jej radością, o wszystkim zapominać dla niej!.. Biedny Jakubie! Gdybyś wiedział jakbym chciała rękę oprzeć na twojem ramieniu i powiedzieć: upajaj mnie twemi słowy, dziel ze mną twe szczęście — ale nie mogę — nie mogę.. Może później..

— Ach, nie zostawiaj mi tój nadziei! Nie kochasz mnie i nie pokochasz nigdy!

— Może później.. szepnęło dziewczę. Słuchaj mnie Jakubie, — pewniejszym głosem zaczęła po chwili. Nie przypuszczałam nigdy, abyś coś więcej czuł dla mnie nad zwykłą przyjaźń. Zostaw mi więc czas do namysłu — niech się przyzwyczaję trochę do tego, że mnie kochasz—niech swobodnie zbadam własne serce. Tak — zostaw mi wolność, a gdy kiedyś przyjdę do ciebie i powiem: Jakubie, już rozważyłam, chcę zostać twą żoną,— ty zrozumiesz, iż odpłacam ci uczuciem równajacem się temu, które mi przed chwilą wyznałeś.

— Ach, jeżeli kiedyś dzień ten zawita, chyba oszaleję z radości!

Florunia smutnie nań spojrzała. Jój serduszko wzruszyło się mimowoli. W jój mocy było tak wielkie szczęście dać temu człowiekowi!

— Nie wiem dlaczego wyobraziłam sobie, że kochasz Sabinę... Wyrzekła po chwili milczenia.

— Sabinę?... nigdy nie myślałem o niej.

— I że ona kocha cię nawzajem; dokończyło dziewczę. Już sobie układałam jak to będzie, gdy zostaniesz moim szwagrem...

Nie mogła mu jednak powiedzieć, że to przypuszczenie było jój niemiłym, a cóż dopiero gdyby życie z nim dzielić miała! W mgnieniu oka wyobraźnia jój przedstawiła sobie życie jednostajne w dziwacznym zamku, gdzie nic zgoła nie mąciło przyjętych zwyczajów, gdzie niezawodnie stałaby się przedmiotem uszczypliwych żartów swój matki chrzestnej, i ofiarą długich opowiadań o poezyi lub chorobach panny Izabelli; a na osłodę wszystkich braków i przykrości miałyby tylko wybujałe, nienaturalne jakieś przywiązanie Jakuba, wiecznie marzącego o ideałach nadziemskich... Czyliż więc nie lepiej było do śmierci pozostać w la Rullière, znosić gniew ojca i oziębłość Sabiny, zestarzeć się jak ona, ale przynajmniej zachować wolność i choć część ze złudzeń i marzeń młodości?

— Trzeba mi odejść—powiedziała zcicha. Może źle zrobiłam wstępując tutaj, ale nie wiedziałam...

— O, nie źle, nie! boś mi dała promyczek nadziei, który zmienił moje życie. Ach, Floruniu, czemuże byłoby dla mnie szczęście zupełne, gdy myśl sama o niém upaja mnie bez miary!...

Dziewczę wymknęło się nie podając mu ręki, nie zwracając głowy. Chciała jaknajprędzej uciec od niego, jaknajdalej usunąć się od tego wzroku, który nadto był wymownym. Walka powstawała w jej duszy, serce wzruszyło się obrazem tej miłości, a rozsądek mówił: tu nieznajdziesz szczęścia o jakim marzysz, jakiego pragniesz; tu będziesz tylko dawać szczęście nie doznając go sama— będziesz kochaną, nie kochając. Ale Florunia pomyślała sobie: czyż to nie są podszepty samolubstwa? Czy nie najprawdziwszém jest właśnie to szczęście, które uczuwamy drugim słodząc życie?

Roztargniona, zmieszana, machinalnie postępowała drogą wiodącą do la Rullière. Ostry głos ojca wyrwał ją z zadumy. Pan Albin niesłychanie był rozgniewany, bo wracał z sadu, gdzie oglądał znaczne szkody jakie mu poczynił śnieg leżący grubą warstwą. I nie mogąc na nikogo spędzić tej winy, rad był że chwyta ofiarę, by gniew swój wyrzeć.

— Zkąd wracasz? krzyknął spostrzegłszy Florunię.

Z des Allais — nieśmiało odpowiedziała dziewczynka, przeczuwając burzę.

— Trzeba ci tam było zostać. Od dziś dnia zakazuję ci przestępować ich progę, dopóki ten głupiec nie zdecyduje się mówić otwarcie. Czy słyszysz? Zakazuję ci także włóczyć się samą po gościńcu. Pocóż cię Sabina odbierała z klasztoru, jeżeli nie umie pilnować. Długoż będą trwały te namysły i zwłoki? Już ja przewiduję na czém się to wszystko skończy! Na starość zostanę z dwiema

córkami siejącami rutkę! Nie, nie — ja się w to wmieszam—i będzie inaczej! Jakub jest prawdziwy bałwan, za nos go wodzić będziesz, a mnie przede wszystkim słuchać. Rozumiesz?

Odszedł, zostawiając Florunię bladą i drżącą z trwogi, jak listek oderwany z drzewa. A więc ojciec chciał ją zmusić do małżeństwa. Teraz nie tylko przeciw miłości Jakuba walczyć miała, ale jeszcze i przeciw woli ojca, który wzbudzał w niej strach podobny do grozy. Wiedziała, że nie jest zdolną długo opierać się zewnętrznym wpływom. Przed chwilą już ulegała uczuciu litości dla Jakuba. Cóż się więc stanie gdy ustąpi przed siłą? Czy z poddaniem swój los przyjmie i powoli zamrze duszą, tracąc swe złudzenia? Czy też serce burzyć się będzie przeciw niewoli i skazywać ją na męczarnie. Czy też?... jeszcze straszniejsze przypuszczenie stanęło przed jej oczyma. Gdy spotka człowieka, który wznieci w niej przywiązanie gorące, podobne do miłości Jakuba, niepomahowane—co pocnie wówczas związana małżeńskim węzłem z człowiekiem, którego nie kochała nigdy?

— Nie! ja chcę być szczęśliwą, chcę kochać jak Jakub prawdziwie, gdyby nawet umrzeć za to przyszło; — zawołała z zapalem, spieszenie biegnąc po śniegu. Nikogo nie wybiorę z rozkazu — tego tylko poślubię kto serce moje zdobędzie — albo wcale nie wyjdę zamąż. Pozostanę samą jak Sabina życie całe — ale zachowam przynajmniej do grobu moje uczucia i marzenia. Sabina czyliż nie jest jakby moją matką? Pójdę i wszystko jej wyznam. Jeśli kocha Jakuba — to właśnie dobrze



będzie, iż się o tém dowie; energiczniej mię obro-  
ni przeciw narzuconemu związkowi...

Sabina tymczasem siedziała przy biurku i pod-  
kreślała olbrzymią kolumnę cyfr, by je dodać. Tą  
pracą zajęta nie zauważyła nawet wejścia Floruni  
i dopiero wtedy oderwała oczy od papieru, gdy  
jasna główka dotknęła jój ramienia.

— Czego chcesz ode mnie? zapytała krótko. Nie  
mam czasu—ojciec potrzebuje tego rachunku, a nie  
jest dobrze usposobionym i czekać nie zechce.  
Jeżeli więc masz mi co powiedzieć—spiesz się!

Florunia, jakgdyby cierniem ukłóta, wyprosto-  
wała się i odsunęła.

— Przepraszam! wyrzekła. Przykro mi, żem ci  
przeszkodziła ale przypuszczałam, że znajdę u cie-  
bie radę, współczucie... omyliłam się widocznie.

I już wychodziła, lecz blisko drzwi zatrzymała  
się nagle.

— Sabino — zaczęła — odpowiedz mi na jedno  
pytanie, ale szczerze, z ręką na sercu: czyś ko-  
chała kiedykolwiek?

Żywe rumieńce oblały twarz Sabiny, w oczach  
zabłyszczał ponury ogień, usta jój zadrżały, wzru-  
szenie wstrząsnęło całą jój istotą. Nie usiłowała  
nawet ukrywać swych uczuć.

— Dlaczego mię pytasz o to? rzekła. Tak—jam  
kochała! kochałam tak jak ty nigdy pewno ko-  
chać nie będziesz, chociaż jesteś tkliwą, uczuciową  
i egzaltowaną.

— I kochasz jeszcze? szepnęło dziewczę.

— Miłość nie umiera. Jeśli się zmienia i słabnie  
to znaczy, że wcale nie istniała.

— I tyś szczęśliwą siostrzyczko? wszak prawda żeś szczęśliwą tém przywiązaniem? I byłabyś szczęśliwą zawsze, chociażby ten któremu oddałaś serce nie odpłacał ci wzajemnością — chociażbyś żadnej mieć nie mogła nadziei, by złączyły cię z nim jakieśkolwiek ziemskie węzły—chociażby nawet inną kochał kobietę? Miłość sama ci wystarcza, zadowolnia cię i uszczęśliwia, nieprawdaż Sabino?

Starsza siostra nie mogła zrozumieć uniesienia młodziej, nie znając tego przyczyny. I zmieszana własném wyznaniem i słowami Floruni pohamowała się nagle, do zwykłego wracając chłodu.

— Sądzę, żeś nie przyszła mi przeszkadzać. Raz skończmy—czego chcesz?

— Słuchaj mnie, Sabino—zaczęło dziewczę. Historji twego życia nie znam i tajemnic twego serca nie posiadam, ale o szczegóły mi nie chodzi. Wiem że kochasz — a tylko tego dowiedzieć się chciałam, lecz jeszcze na jedno odpowiedz mi pytanie. Co byłabyś uczyniła wówczas, gdyby zamiast téj miłości, która zapełnia i osładza twe życie, los nieszczęsny narzucił ci więzy nierozzerwane, połączył cię z istotą całkiem obojętną i sercu twemu zabronił tym sposobem uczuć żywszych, pełniejszych, pozbawił je prawdziwego szczęścia? Powiedz—cobyłabyś uczyniła?

Sabina nie wahała się ani chwili i rzekła:

— Byłabym się poddała woli Boga i wiernie spełniała swoje obowiązki.

Florunia zadrżała i, ręce przyciskając do piersi, chwiejnym wyszła krokiem, szepcząc cicho:

— I ja się poddam... poddam... jeśli tego trzeba—ale umrę... czuje że umrę!

---

## VIII.

Sabina niezadługo potem wytłumaczyła sobie wzruszenie dziewczęcia: pan Albin ostre wymówki robiąc oświadczył jęj, że sam zajmie się przypro-  
wadzeniem do skutku małżeństwa Floruni, bo wi-  
dzi, że inaczej z tego nic nie będzie; napomknął  
również, że już pewne ku temu uczynił kroki, bez-  
względne posłuszeństwo nakazując córce. Sabina  
żałowała teraz, że nie wysłuchała wyznań Floruni  
i nie okazała jęj współczucia. Ale tego rodzaju  
myśli zawsze zapóźno przychodziły jęj do głowy,  
bo w pierwszej chwili zawsze tłumiła głos serca—  
to też uczucia jęj nigdy poznanemi i rozumianemi  
nie były.

Przytem w stosunku jęj z Florunią to jeszcze  
wpływało na jęj powściągliwość, że widziała w młod-  
szej siostrze zbyt rozbudzone uczucie i rozbująłą  
wyobraźnię; to chorobliwe usposobienie poczyty-  
wała jęj nieledwie za winę, ale pragnęła nie pod-  
niecać go, nie drażnić i nawet cień bólu i cierpie-  
nia od nięj oddalać.

Podług nięj Fiorunia była niesprawiedliwą wzglę-  
dem Jakuba, nie oceniając jego przymiotów, ale  
z drugięj strony przyznawała, że dziewczę inne  
odebrawszy wykształcenie stało się więcj wymaga-  
jącem i drażliwszém na wiele rzeczy. Pragnęła

więc zasłonić siostrę przed szorstką natarczywością ojca i wszelkie w tym celu poruszyła sprężyny.

Kochała Florunię— bez wahania byłaby za nią oddała życie, a przecież nie umiała otoczyć jej pieśzcotami i miłością, których niejedno młode serce jak powietrza do życia potrzebuje. Gdy Florunia w chwilach niewytłumaczonego smutku—które są może poprostu przecuciem nieszczęść w przyszłości—pocichu wylewała łzy, przez matkę zwykle ocierane pocałunkiem, Sabina nie pojmując jej, z niecierpliwością ruszała ramionami. Dziewczę, tym chłodem zrażone, stopniowo odsuwało się od niej, a w końcu przestało liczyć na jej przywiązanie.

Florunia obawiała się nalegań ojca; lecz widząc że wcale o Jakubie nie wspomina, domyśliła się w tém pośrednictwa Sabiny, a zarazem jeszcze silniej utwierdziła w przekonaniu, że siostra bez wzajemności kocha młodego des Allais. Postanowiła zatem nie uwodzić się uczuciem litości i na prośby jego nie przystawać.

W tych więc warunkach życie jej płynęło nader smutnie. Błądziła samotna po polach i marzyła podtrzymywana w nadziemskich sferach przez książki Jakuba. Jakiś sztucznym, nienaturalnym istniała życiem, które nawet źle wpływało na rozwój jej sił fizycznych.

Białe, różowe i liliowe kwiaty wiosenne ubarwiły majowe łąki, potem i owocowe drzewa, zrzucawszy białe szaty, przywdziały zielony strój lata.

Należało tylko myśleć o bezpieczeństwie młodych rodzin wśród liści ukrytych: przed zniszczeniem zasłaniać czerwieniejące zleka wiśnie, morele, brzoskwinie i piękne gruszki. Żarłoczne wróble bezustannie koło drzew krążyły, świegocąc z radością i chciwymi oczyma zapytując się nawzajem—jak prędko rozpoczną rabunek? Jeszcze kilka dni cierpliwości, jeszcze kilka dni—wołały starsze—a uczta będzie gotowa! O, i będziemy wybornie umiały omijać sidła pana Albina, a na tym słomianym człowieku, którego w bluzę ubiera, chcąc nas postraszyć, będziemy sobie siadać jak na grzędzie... I rój skrzydlaty zapełniał powietrze śpiewem i krzykiem. Biedny doprawdy pan de la Rullière! tyle stworzeń i żyjątek spiskowało przeciw niemu, w niewecz obracało jego starania i zabiegi: zacząwszy od kretów, które podkopywały mu rabaty z truskawkami, i myszy polnych po zbożu gospodarujących — a skończywszy na barwistych makach, bławatach i konkolach, mimo jego zakazu podnoszących główki, wszystko tylko poto istniało, by gniewać go i trapić!

Florunia w klasztorze wychowana z rozkoszą używała swobody i bez znużenia napawała się pięknnością natury; z właściwością marzycieli i poetów umiała w jednostajnych na pozór widokach upatrywać rozmaitość i życie. Większą część dnia przepędzała na świeżem powietrzu z książką w ręku, podsłuchując rozmowy ptasząt, motyli i owadów. Lubiła patrzeć na każdą roślinkę—a teraz i niezapominajki i bzy błękitne się rozwijały.

I Jakub téż nadewszystko lubił te skromne niebieskie kwiatki, bo one przypominały mu łagodne oczy Floruni. Ale teraz już nie śmiał mówić jej o tém. Zaledwie czasem rzekł do niej słowo i zadawała się, gdy zdala mógł patrzeć na nią, jak błędziła po ogrodzie lub polu.

Czerwcowe słońce rozwinęło róże, które ze szczególniejszém zamięłowaniem Jakub uprawiał w swym ogrodzie, czego nie mógł mu przebaczyć pan Albin. To téż z początku chciał on powyrzucać wielkie wonne bukiety, któremi zakochany młodzieniec każdego dnia obdarzał Florunię; ale potem zmienił swój zamiar, upatrując w tych podarunkach pewne kroki na przyszłość. Przy téj sposobności znów powtórzył córce, że tylko pod tym warunkiem odebrał ją z klasztoru, że zostanie panią zamku des Allais. Małżeństwo to miało przynieść mu wielkie korzyści— i wyraźnie nakazywał Floruni, aby użyła wszystkich środków, jakimi rozporządzają kobiety, aby przywieść Jakuba do stanowczego kroku. Oznajmił nawet, że oddawna już byłby sam poszedł załatwić tę sprawę i ułożyć warunki ze starymi ciotkami, gdyby nie powstrzymywały go zachodzące między nimi nieporozumienia.

Florunia zdumiona tą rubaszną otwartością, wysłuchała ojca nie rzekłszy słowa i uciekła z sercem ściśniętém i oczyma załzawionemi.

Nie myśląc o tém gdzie dąży, szła brzegiem rzeki ustrojonej przy drodze w bławaty i dziką miętę, gdy w tém na dziesięć kroków przed sobą spostrzegła Jakuba. Wyciągnięty na murawie, le-

żał z głową opartą na rękach i patrzył na wodę jednostajnie płynącą; wędkę jego pociągała ryba, widocznie u haczyka zawieszona. Florunia zatrzymała się chwilę i patrzyła na niego. W pozie tej wydawał jój się uosobieniem próżniactwa i ościężałości. I to była istota, z którą ona dzielić miała życie! Ale w momencie sumienia, bez litości głoszące prawdę, odezwało się w niej i mimowoli szepnęła: — A ja czyż nie jestem jeszcze słabszą od niego? Tak, odpowiedziała—i dlatego muszę przywiązać się do istoty pełnej sił i woli, która przez miłość rozkazywać mi będzie. Czy nie jesteś równie jak on bezużyteczną dla drugich? dalej pytał wewnętrzny sędzia. I to prawda! to też potrzebuję słabą swą łodygę jak powój zawiesić na potężnym drzewie, bym żyć mogła i opierać się wichrom i burzy. Miłość swą chcę między gwiazdami nieba umieścić a nie pomiędzy kwiatami ogrodu.

Oddaliła się nie zwróciwszy uwagi Jakuba.

Przeszedłszy przez pole, stanęła przed płotem. Po drugiej stronie, na łące, upstrzonej złotymi główkami kaczeńca, pasły się krowy. Nie było to bynajmniej poetycznie — ale co robić? Florunia ogromnie bała się bydła. Nie miała więc odwagi postępować dalej, a cofnąć się nie chciała, aby jój nie zobaczył Jakub. Mając tedy nadzieję, że ktoś zjawi się na drodze i odprowadzi ją do domu, usiadła przy płocie pod krzakiem dzikiej róży. Urwała gałązkę i przystroiła nią swój prosty kapelusz słomkowy. Skrzydlate muchy i owady brzęczały koło niej, krowy na łące odzywały się po swojemu, skowronek cyrkał w zbożu i ku słońcu

podlatywał. Jakieś kroki zaskrzypiały na piasku i cień ludzki na drodze się odbił. Florunia podniosła się i, nie odwracając głowy ku oczekiwanemu wybawicielowi, strząsnęła różane płatki ze sukni. Przypuszczała, że to jakiś wieśniak z folwarku powraca, lecz jakimże było jój zadziwienie, gdy ujrzała przed sobą mężczyznę nieznanego, który uprzejmie się kłaniał. A patrzył na nią tak badawczo, jakgdyby w jój rysach usiłował odnaleźć podobieństwo czy wspomnienie.

Potem nagle wyciągnął do niój rękę.

— Czy mam cię poważnie nazywać panią, czy poprostu Florunią, jak dawniej? zapytał z uśmiechem.

Florunia także ciekawie przypatrywała się nieznanemu. Był on jeszcze młodym, lubo ogorzała cera, wybitne rysy i dość znaczne zmarszczki na czole robiły go nad wiek starszym. W ogóle cała jego powierzchowność nacechowana była niezwykłą energią. Dziwny wyraz przemknął po twarzy mężczyzny — coś, jakgdyby cień tkliwego uczucia, złagodziło powagę jego rysów.

— Czekam na odpowiedź — i daremnie, powiedział, widząc że dziewczę milczy. Więc pani mię nie poznajesz? a przecież w Paryżu, stanąwszy, najpierw odwiedziłem klasztor, sądząc że jeszcze w nim pani jesteś. Bo w samój rzeczy masz pani dopiero lat może siedmnaście...

— Tak, i trzy miesiące.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— I trzy miesiące! W pani wieku to rzecz ważna. Całych więc dziesięć lat upłynęło od czasu



jakeśmy się widzieli, a jednak od pierwszego wejścia poznałem panią. Witaj mi, witaj, mała Floruniu! Czyś już zupełnie zapomniała o wieczorach u pani d'Essé, na których znajdowała się druga istota równie mało jak ty mówiąca, która z przyjemnością podsuwała ci swe ramię, abyś spoczęła na niém, gdy nikt na nas nie zwracał uwagi?

Dziewczę podniosło na mówiącego wzrok pełen zdziwienia.

— Pan de Bargemont!... wykrzyknęła;... ależ pan wcale nie jesteś podobnym do niego.

— Lecz niezawodnie jestem nim we własnej osobie; tylko przez czas ten zwiedziłem pół świata. Ale gdym miał przyjemność spotkać panią tutaj— bądźże łaskawą pokazać mi drogę do zamku de la Rullière.

Florunia zawahała się.

— Trzeba przebyć tę łąkę... A czy się pan krów nie boisz?...

— O, krowa jest w samej rzeczy zwierzęciem bardzo niebezpiecznym i okrutnym, ale będę usiłował uzbroić się w odwagę, przywodząc sobie na pamięć utarczki ze stworzeniami tak łagodnymi— jak na przykład krokodyl, jaguar, pantera.

— Pan się ich nie obawiałeś? naiwnie zapytała dziewczynka,—i nigdy niczego się nie lękasz?

— Wówczas nie było czego, bo jak pani widzisz powróciłem zdrow i cały, lecz jeżeli mam ci się wypowiedzieć otwarcie, to powiem, że nigdy nie byłem tak strwożony jak obecnie.

— Strwożony? Krowy cię nie przerażają, więc to chyba ja strach wzbudzam?...

Roger zwrócił na nią poważne swe wejrzenie. Być może!—pomyślał, lecz nie wypowiadając tego odparł:

— Obawiam się przyjęcia jakie mię czeka w zamku...

— Oh—zaczęła Florunia—bądź pan dobrej myśli. Dziś nienajgorszy dzień dla mojego ojca—tylko dwa razy gniewał się na mnie, a przecież pan nie ulegniesz losowi biednego zarządcy z folwarku, który dwie godziny czekał w sieni, w towarzystwie worków z mąką i psa zjadliwego, nie mając nawet na czém usiąść. W końcu przez pomyłkę czy téż naumyślnie zamknięto nieszczęśliwca na klucz, i byłby tam może dotąd siedział, gdyby nie oswobodziła go Sabina.

— Więc pani siostra zawsze jest przy ojcu! — zapytał Roger z roztargnieniem wysłuchawszy dziewczyny. Czy zamąż wyszła?

— Zamąż? a broń Boże! Dopierobym żałowała nieszczęśliwego człowieka, który mieszkałby w la Rullière w roli zięcia mego ojca!...

— Dlaczego?

— No... gdy pan od tak dawna znasz Sabinę, to wiedzieć musisz, że choć najlepsza i najpocziwsza w świecie, wcale nie jest tkliwą i łagodną. Wyraża się zwykle tak sucho, ostro, że wolę nagany ojca niż jój chłód i obojętność.

Chmura wyraźnie przesunęła się przez czoło mężczyzny; potem spojrział w oczy Floruni.

— Biedne dziecko! Jakież smutne musi być twoje życie w tém otoczeniu!

Silny rumieniec oblał twarzyczkę dziewczyny.

— Jakżeż nierozsądną i dziecinną zapewne wydają się panu, gdy zaledwie przed chwilą cię poznawszy, już opowiadam o drobnych swych troskach.

— Nie; widzę tylko że jesteś pani otwartą i z wdzięcznością dziękuję za to. A posłuchaj mnie: ja w przypadki nie wierzę; już zanadto wiele uniknąłem w swém życiu niebezpieczeństw, aby nie nabrać przekonania, że Opatrzność czuwa nad nami—z tą wnoszę, iż i w tém jest jakaś przestroga, że cię spotkał na swój drodze. Wskażesz mi pani jak mam dalej postępować, aby uniknąć rozbicia o skałę. Gdy się powraca od antypodów do przyjaciół, o których nie słyszało się ani słowa przez lat dziesięć, to nie zawadzi pierwój trochę się dowiedzieć co przez ten czas porabiali. W przeciwnym razie można popełnić tysiąc rzeczy niewłaściwych, i niechcący dotknąć i zranić różne uczucia. Opowiesz mi pani zatem wszystko, co się tu działo przez czas mojej nieobecności. Wszak nie do obcego człowieka mówisz, ale do starego przyjaciela, który cię niegdyś do snu kołysał na swój piersi. A nie pytam cię o to coś porabiała w klasztorze, gdzie cię umieszczono za moją radą—ale chcę wiedzieć co potem było?

— Potem? na krok nie ruszyłam się z la Rulière—i zapewne tak będzie do końca życia,—odparła z westchnieniem.

— A pani siostra, Sabina? Czy wiesz dlaczego nie wyszła zamąż?

— Napewno nie wiem, ale się domyślam... Przerwała.

— Chcę abyś pani nadal postępowała ze mną szczerze, — powiedział Roger nakazującym tonem, który wybornie zgadzał się z jego powierzchownością. Nie rób żadnych przedemną tajemnic. Wypowiedz nietylko to, co wiesz ale i co przypuszczasz. Więc dlaczegoż twoja siostra nie poślubiła nikogo?

— Bo zdaje mi się, że kocha bez wzajemności—szepnęła Florunia.

— Kogo? czy znasz pani jego nazwisko?

— Łatwo je zgadnąć. Chcesz pan wiedzieć, to spojrzysz w stronę brzoź nad rzeką, a zobaczysz go.

Roger jednakże nie odwrócił głowy i tylko zapytał spieszenie i krótko:

— Ale nazwisko jego?

— Jakub des Allais. Nie zapominaj pan jednak, na wszystko proszę, iż ja nic nadobrego nie wiem. Sabina, skryta i małomówna, nigdy przede mną nie robiła zwierzeń, więc są to poprostu moje przypuszczenia...

— A z kąd pani wiesz, że on jęj nie kocha?

To pytanie wydało się Floruni zbyt niedelikatnym, chciała też pokryć je milczeniem. Ale pan de Bargemont stanął przed nią na środku drogi, i utkwiał w nięj swój wzrok spokojny, któremu nie była zdolną się oprzeć.

— Z kąd pani wiesz, że jęj nie kocha? powtórzył śmiało.

Dziewczę pochyliło główkę zmieszane i strwożone.

— Wiem, że kocha kogoś innego,—wyjąkała.

— Panią, wszak prawda? Więc dobrze. Teraz już o nic pytać się nie będę. Znam położenie rzeczy i to mi wystarczy.

— Takie zatem odkrycie czekało mnie u drzwi domu, do którego przybywam szukać swego szczęścia, po dziesięciu latach ciężkiej walki z przeciwnościami losu? Myślał Roger. Usłyszeć z ust niewinnego dziecka, że kobieta którą wyidealizowałem w swych marzeniach, dla której przez wygórowane może poczucie honoru zachowywałem serce i wierność i zdobywałem majątek — że ta kobieta starzejąc zrobiła się jedną z owych istot ostrych i gderliwych, które tylko dokuczać umieją drugim! a w dodatku jeszcze, że niemądrze zaprzętnęła sobie głowę człowiekiem, który nie myśli o niej!... Przez chwilę miał wielką ochotę cofnąć się. Powrócę do Paryża—myślał dalej—będę wieść życie rozrzutne, wesołe, na jakie pozwala mi obecne położenie i zapomnę o Sabinie, która prawdopodobnie także nie pamięta już o mnie. Bo w samej rzeczy dlaczegoż nigdy nie próbowała do mnie pisać? Zabroniłem jej coprawda, ale kochająca kobieta wie co to znaczy. Zem ja nie dawał wiedzy o sobie, to jest całkiem naturalne i słuszne,—nie mogłem tego uczynić przed zdobyciem nanowo stanowiska i majątku. Ale ona? ona, co towarzyszyć mi chciała, mimo mego oporu, i z własnej chęci przysięgała wierność, mnie przez to zobowiązując do przyrzeczenia, którego serce nie potwierdzało?...

Przyznać trzeba, że okoliczności pomagały mu w dotrzymaniu danego słowa; pracą wyłącznie po-

chłonięty mało był na pokusy wystawionym; choć i tak parę razy szczęście samo rzucało mu się w ręce, i wówczas myślał istotnie, że wierność stale zachowywana niewarta może poświęceń. To też obecnie prawie żałował, że odrzucił rękę bogatęj i pięknej córki amerykańskiego właściciela kopalni, który sam robił mu tę propozycją.

Gdy tak w milczeniu postępował obok Floruni i dumiał i rozważał, w końcu osądził się że jest śmiesznym i litości godnym. Jakąż zabawną miałby minę, gdyby dziś mówił o przywiązaniu i wierności tej dziewczynie, której dziwactwa i wady pewno z wiekiem wzrosły? Dziś przypominał sobie najmniejsze jej usterki. Ostatecznie postanowił zatem oszczędzić jej wstydu, a sobie śmieszności, i pozbyć ją krótkimi odwiedzinami jak obojętną, dawną znajomą i dać uczuć, że już nic ich nie łączy. Tak usposobiony względem Sabiny uzbroidł się w chłód i sztywność, nie przeczuwając niesprawiedliwości i następstw tego kroku.

---

## IX.

Sabina, jakgdyby sędzia badający winowajcę, siedziała przy biurku, a przed nią stał młynarz, w zakłopotaniu kręcący w rękach umączony swój kapelusz. Rozmowa i rachunki już długo trwały, a nieźle szło dopóki pan domu nie zjawił się w pokoju i swoim zwyczajem nie zaczął wtrącać swoich uwag. Wtedy jak zpod ziemi wyrastały jakieś trudności, nieporozumienia; tępy umysł wieśniaka

gubił się w dziwnych kombinacjach, małe pomyłki wzrosły do olbrzymich rozmiarów, aż Sabina mimo swój bystrości nie wiedziała co począć i w końcu cierpliwość traciła.

W dniu tym nawał interesów tak jój czas zaprzętnął, że nie miała kiedy swego rannego ubrania zamienić na strój popołudniowy. Szara suknia, z bardzo pospolitój i gruběj wełny, źle zrobiona i poplamiona, okrywała jój postać nadto pełną i trochę ociężałą. Palce miała atramentem powalane, a gęste jój włosy, cochwila usuwane z czoła przy męczącėj pracy, nie estetycznie się rozrzuciły i zwichrzyły. Sprzeczała się i dowodziła z takim zapałem, że nie dosłyszała skrzypnięcia drzwi.

Tymczasem Florunia, uchylając je, pokazała swą główkę w otworze.

— Ojczy,—zaczęła nieśmiało.

Pan de la Rulière obrócił się ku niój, pięścią w stół uderzając.

— Nie wiesz to, że ci niewolno przeszkadzać kiedy robimy rachunki? zawołał. No dalej, Firminie, dalej—sto dwanaście...

— Przepraszam cię, ojczy, ale... Po chwili znów cicho zaczęło dziewczę.

— A, nie zrozumiałaś, jak widzę? Raz nazawsze zabraniam ci nogą przestępować próg tego pokoju!

Florunia już miała odejść.

— Cóż tam? zapytała Sabina. Czego chcesz?

— Ktoś chce się widzieć z ojcem.

— Niech czeka! krzyknął pan Albin.

— Któż to? z roztargnieniem dorzuciła Sabina

— Pan de Bargemont.

Sabina, jakgdyby iskrą elektryczną dotknięta, zerwała się i wyprostowała; pióro z palców jej wypadło i na podłogę się potoczyło. Ale jej niepokonana siła duszy przewyciężyła pierwsze wzruszenie, pochyliła się by podnieść obsadkę i na powrót usiadła przy biurku, tak że jej zmieszanie uszło uwagi Floruni.

— Dobrze, dobrze! niech poczeka, zaraz tu skończymy,— łagodniej odpowiedział pan de la Rulière, i, do starszej córki się zwracając, dodał: gdzież stanęła? Trzydzieści dwa kilogramów po ośmdziesiąt pięć centimów?

— Dwadzieścia siedm franków dwadzieścia, — bez zawahania odparła Sabina.

I miała dość mocy, by przerwane rachunki prowadzić, aż się wszystkie kwestye rozjaśniły; młynarz odszedł, i pan Albin, o gościu zapominając, także się oddalił. Została nakoniec sama!

Jednym skokiem stanęła pode drzwiami, które ją oddzielały od narzeczonego. Zapomniała o długich latach upłynionych od ostatniego ich widzenia się ze sobą, które może zmieniły go do niepoznania; nie myślała też o swym ubiorze zaniedbanym, który mógł ją niekorzystnie przedstawić w oczach Rogera. Wiedziała tylko, że tam jej ukochany ją czeka i do piersi przyciśnie jak niegdyś; tam było jej szczęście, wiara, spokój, nadzieja — miłość jej bez granic! Jednakże jakieś niepojęte uczucie ją powstrzymywało — nie miała odwagi drzwi otworzyć, już na kłamce rękę trzymając. Czyliż to w samej rzeczy jej narzeczoney



powracał? Któż mógł jęj zaręczyć, że on innęj nie pokochał kobiety, a może nawet i poślubił? Nie!— przypuszczenie to odepchnęła czémprędzėj jako uwłaczające Rogerowi. Pocóżby wracał z własnej woli, jeśli nie poto, aby ich dawne urzeczywistnić marzenia? A jednak, jednak... ileż to różnych rzeczy zająć mogło przez tych lat dziesięć! Czy się zmienił? pomyślała i, chcąc go zobaczyć niepostrzeżenie, cichuteńko drzwi uchyliła, jakby młode dziewczątko.

I serce jęj ścisnęło się bólem, jakby ostrzem noża przeszyte. Roger w niedbałej pozie, o ławeczkę u okna łokciem oparty, z głową pochyloną ku Floruni, opowiadał coś głosem poważniejszym i głębszym niż dawniej; twarzy jego nie było widać—ale Florunia, ta mała Florunia, to dziecię zaledwie do życia zbudzone, jakież dziwny miała wyraz w swych oczach! Siedziała w zagłębieniu przy oknie; gorący promień słońca spływał na nią, pieszcząc delikatne kontury czarownego jęj profilu i ze zwojami złotych jęj włosów igrając; duże, smętne jęj oczy w oczach mówiącego utkwione, wyrażały dziecięce uwielbienie, którego nawet nie usiłowała ukryć! Jęj usteczka, lekkim półuśmiechem rozchylone, zdawało się, że każde słowo jak rosę piją. Jakiś ogień święty opromieniał tę młoda twarzyczkę; nawet jęj blade lica zabarwiły się gorąco a delikatnie, jak lampa alabastrowa, w której żywy drga płomień.

Sabinę strach przejął. W mgnieniu oka pojęła rodzaj grożącego jęj niebezpieczeństwa i przeczuła straszną zmianę, jaką w jęj życiu mógł obecnie

uczynić powrót Rogera. Cóżby się stało, gdyby on we Floruni obudził uczucie, którem nigdy ją przykuł do siebie? Zadrżała,—tyle bólu przeniknęło jej serce, że oczy przymknęła na chwilę, jak nieprzytomna—a potem wolno i cicho weszła do pokoju.

Gdy stanęła przy Floruni, dziewczę otrząsnęło się jakby z uroku, którym Roger ją opanowywał, i zerwało żywo.

— Sabina! wyrzekła:

De Bargemont się odwrócił.

Ileż to razy Sabina w marzeniach swych, którym ukradkiem oddawała się wieczorem, przedstawiała sobie tę chwilę przywitania po tak długich latach tęsknoty! Coza radość! szczęście!.. dumiała. Czy rozpoczną swój cudny poemat miłośny tam, gdzie go nagle przerwali? Czy nowemi siłami wzmocnieni stworzą sobie drugą młodość uczuciem serc własnych?... Czémże Roger ją przywita i wynadgrodzi jej przywiązanie i wierność: gorącym pocałunkiem, czy tkliwością spokojną, pełną męskiej powagi?..

Roger, słysząc wymówione imię narzeczonej, obrócił się zwolna, prawie niedbale, i chłodnym wzrokiem objął postać postarzałej dziewczyny, która w swém opuszczoném ubraniu, blada i zmieniona wzruszeniem, stała przed nim. Ceremonialnie podał rękę powstając, i zaledwie dotknął jej zimnych jak lód palców.

Biedna Sabina! Gwałtowne i silne wstrząśnienie zatarło wszelki ślad młodości i urody w jej

rysach; przymus, jaki sobie zadawała by zachować pozorny spokój, nadał całej jej powierzchowności wyraz szorstki i niemiły; jej usta silnie zaciśnięte, jakby dla stłumienia rozdzierającego krzyku, wydawały się zwiędłe i blade.

Dzika radość nieledwie uśmiechem wybiła się na ustach Rogera. Ta kobieta wydała mu się w tej chwili tak mało powabną i niegodną, by przez długie lata zaprzętać serce i wyobraźnię mężczyzny, że wdzięcznym był jej za to, iż nie dochowała mu wierności, i błogosławił w duchu nieznanego rywala. Cóż byłoby się stało, wielki Boże! gdyby nie był na drodze spotkał Floruni tak dziecinnie otwartą! i o niczym nie wiedząc przyszedł swe serce złożyć u stóp tej kobiety? Sabinie mówić o miłości, od niej żądać aby została towarzyszką jego życia, światłem jego ogniska, uosobieniem ideału; w niej widzieć tę istotę łagodną, uroczą, wstydliwą, którą chciał otaczać swym przywiązaniem, podpierać siłą i opieką—nie! sama ta myśl wydała mu się nierozsądną, szaloną! Nie wiedział też co mówić do niej, od czego rozmowę zacząć, obawiał się aby jakieś słowo nie przypomniało przeszłości.

Ona zaś, tylko siłą woli tłumiąca swe wzruszenie, pierwszy raz w życiu także straciła pewność siebie. Ust nie mogąc otworzyć usunęła się na bok, w cieniu usiadła i, drżąc a niema, błędny swój wzrok przenosiła z Rogera na Florunię.

To położenie rzeczy stawało się nieznośnym dla gościa; chcąc mu kres położyć, postanowił rozpocząć przerwana rozmowę z Florunią.

— Na czém stanęliśmy? zapytał spokojnie. I dalej opowiadał o swoich podróżach, połączonych z tysiącem niebezpieczeństw strasznych, które przewycięzać było trzeba. Wyrażał się z niezwykłą łatwością, przesady unikał i nie przedstawiał nigdy siebie jako bohatera; mimo to Florunia z właściwością dusz młodych i wrażliwych już otaczała go aureolą.

Sabina zapomniana, w kącie siedząca, z okrutnym bólem śledziła zmiany tej sceny, której aktorami były dwie najdroższe jej sercu istoty na świecie! Ach! jakżeż on wydawał jej się czarującym, wymownym! Rozumiała chciwość z jaką to dziecię chwyciło każde jego słowo. Ale on! czyliż to było możebnym aby tak zobojętniał, tak wystygł? aby zapomniał przeszłości i z takim chłodem witał ją po tylu latach? W końcu zaledwie cośkolwiek słyszała z jego opowiadania, w głowie jej powstał zamęt, bicie serca tłumilo głos jego, nie słyszała słów ale dźwięki jakieś porwane; cierpiała tak strasznie, że chciała zerwać się i uciec. Ten Roger siedzący przed nią, tak spokojny, obojętny, już nie był jej Rogerem. Czemuż więc obcy człowiek, tak zimny a piękny i wymowny, przybył tutaj aby jednym podmuchem zburzyć gmach jej marzeń, błogich wspomnień i najdroższych nadziei? Okropne przechodząc męczarnie myślała sobie w tej chwili, że byłaby wolała nie widzieć go wcale — tylko zawsze oczekiwać!

Pojawienie się pana de la Rullière uwolniło ją z przymusowo zajmowanego stanowiska, wymknęła się też natychmiast niepostrzeżenie.

Stary nudziarz zapomniał o gościu, którego nazwisko zaledwie posłyszał; dla niego zawsze na pierwszym planie były interesa; więc dopiero wszystko załatwiwszy pomyślał o nowo przybyłym. Pan de Bargemont—powiedział do siebie — a, znam gdzieś to nazwisko. I powoli w umyśle swym odgrzebywać zaczął zatarte wspomnienia. Sądząc zaś gościa podług własnej miarki, pewnym był, że sprowadza go tylko interes. Sabina już nie była młodą—przywycił ją uważać za najzupełniej zwiędłą i starą; więc ten intrygant, nie dorobiwszy się niczego przychodził oczywiście pieniędzy wyłudzić pod pozorem zawiązania zerwanego małżeństwa.

Zrobił tedy jak najmniej uprzejmą minę i, przywitawszy gościa, węszył z wytrawnością starego lisa, który czuje zastawione sidła. Pan de Bargemont, wytwornie ubrany, wcale nie wyglądał na człowieka potrzebującego wsparcia; a przytem w zachowaniu swém okazywał pewien rodzaj niezależności i dumy, której sobie nie pozwala ten, kto kłaniać się musi.

Te spostrzeżenia zebrawszy, pan Albin chciał głębiej grunt zbadać, zanim w grzecznościach zapuściłby się zadaleko. W zręczny sposób wyciągnął z Rogera wyznanie, iż z Ameryki przywiózł znaczny kapitał. Wtedy, ma się rozumieć, z wielkim szacunkiem zaczął oświadczać się dla niego, nie wątpiąc, że przybywa dawne przyrzeczenia spełnić i drugi raz o rękę jego córki prosić.

— Przecież pan zostaniesz bez ceremonii na obiedzie u nas, mój drogi przyjacielu? zapraszał.

Roger się skłonił.

— Nie będę mógł prawdopodobnie korzystać z uprzejmości pana, muszę wracać do Paryża.

— Ale! cóż tak prędko? Już pociąg żaden dziś nie idzie. Cóż pan zrobił z rzeczami?

— Zostawiłem je w Saint-Romuald, w hotelu de la Licorne, gdzie się zatrzymałem.

— W la Licorne? Lecz to jest szkaradny, brudny zajazd. Proszę, zostań pan z nami, bądź moim gościem — po rzeczy zaraz pošlemy. Sabino, każ zaprządz. Sabino! — powtórzył obracając się — a, gdzieś wyszła. Co zaś się tyczy powrotu do Paryża, mam nadzieję, że nie tak prędko wykonasz pan tę groźbę. Nam bardzo rzadko zdarzają się tak miłe odwiedziny.

Florunia z zadziwieniem patrzyła na ojca; pierwszy raz w życiu z ust jego słyszała uprzejme wyrazy.

Sabina pokazała się dopiero gdy siąść mieli do obiadu, i nawet czekać na siebie kazała w dniu tym, wbrew zwykłej punktualności; a gdy ojciec robił jej wymówki, usprawiedliwiała się nadmiarem zajęć.

Przybrała się jak dawniej starannie, ale tylko dlatego, aby zmianą nie ściągnąć uwagi ojca i Floruni—już bowiem nie dla Rogera. Podczas obiadu i przez wieczór cały nader mało mówiła; panować nad sobą umiała wybornie, a przecież rozpacz rozdzierała jej serce za każdym razem, gdy spotkała wzrok Rogera, chłodno prześlizgujący się po niej, a z bezwiedną tkliwością spoczywający na twarzy Floruni.

Jój strój zaniedbany, który z początku miała na sobie, niemile uderzył Rogera oczy, a później tém bardziej raził go strój nader niegustowny. Jój szeleszcząca jedwabna suknia szkaradnego zielonawo-brudnego koloru, dawno już z mody wycofanego, dziwnie odbijała od ponurych ścian jadalnej sali, a naszyjnik z koralami bardziej zwiędłą czynił jój twarz opaloną. Przy niej zaś jaśniało siedmnastoletnie dziewczę, jak wiosenny kwiatek, urocze i świeżuchne. Cały jój strój stanowiła płowa, lekka sukienka i polna róża zatknięta u stani-ka; zamiast zbitych warkoczy, które otaczały głowę Sabiny, nad jój czołem wiły się swobodnie złote loki. Roger nie byłby chyba mężczyzną, gdyby obojętnym został na tyle wdzięku.

Sabinie wydawało się, że ten wieczór chyba nigdy końca mieć nie będzie. Nareszcie przecież pan de Bargemont, dobrej-nocy życząc, oddalił się do swojego pokoju, a ona sądziła również że uciec może.

— Gdzie idziesz? zatrzymując ją zawołał ojciec, — zostań no, chcę pomówić z tobą... A ty możesz iść spać, — powiedział do Floruni.

Sabina usiadła spokojnie. Pan de la Rullière wyciągnął z kieszeni fajkę i nałożył ją, a pociągawszy parę razy, ręce skrzyżował i, patrząc na córkę, zapytał:

— No, i cóż ty myślisz?

— O kim? z nerwowém drzeniem zapytała Sabina.

— O kim, do diabła! o twoim narzeczonym.

— Nie mam narzeczonego, a jeśli tu chodzi o pana de Bargemont, zdanie wygłosić będę mogła dopiero po bliższém poznaniu.

— Ach! jakaś ty dziwaczka, słowo daję! Człowiek z drugiejj półkuli przybywa, aby oddać ci majątek, a ty przyjmujesz go jak obcego.

— Bo téż nie jest niczém inném dla nas.

— No, ale do dyabła, był przecież z tobą zaręczony.

— Wiesz, ojczy, równie dobrze jak ja, z jakim pośpiechem zrzekał się wszelkich zobowiązań względem mnie i z jakim zapalem przy wolności się upierał. Któż nam zaręczyć może, iż nie jest ożenionym?

— Mój prosty rozum powiada, że nie—bo czyżby poto wędrował do ustronnego kąta, aby zawiadomić cię o swém małżeństwie? Cóż, nie mam racyi?

— Mogły go tu sprowadzić inne powody, mógł chcieć na własne oczy przekonać się, co czas zrobił z owęj istoty, która mu się dawniej podobała. Ale nie mówmy o tém,—zawołała spiesznie. Czego chcesz ode mnie? ja również jak ty, ojczy, nie znam powodów, które go skłoniły do powrotu, ale to wiemy oboje, że m świącie słuchała jego zakazu, i nie próbowałam nawet nigdy pisać ani imienia jego nie słyszałaś z ust moich;— on także nie donosił nic o sobie. Więc byliśmy zupełnie wolni, niczem niezwiązani i nie powinniśmy się dziwić, gdyby jedno z nas skorzystało z téj swobody. Chciałabym, abyś o przeszłości zapomniał— jak ja.



Całą mocą swój żelaznej woli tłumiała ból serca i usiłowała być spokojną, mimo to głos jój drżał.

— A zresztą—zaczęła po chwili z większą pewnością — któż wie, czy on nie przybył w jakimś interesie; może chce umieścić pieniądze, może nabyć ziemię? wszak wspominał, że rozporządza znacznym kapitałem.

— A widzisz! a widzisz! to bardzo być może! — z rozjaśnioną twarzą zawołał pan Albin. Bo istotnie, choć jesteś najzaciejszą z kobiet jakie znałem kiedykolwiek, już przecie nie masz młodości, moja biedna córko! I mimo majątku, jakiego będziesz po mojej śmierci, za żonę bym cię nie wybrał, będąc tak młodym i eleganckim jak pan Roger. To też dziś, gdy już nie potrzebuje twego posagu... tak, tak, niezawodnie — to go sprowadziło. W samej rzeczy niemądre było przypuszczenie, że o twą rękę zgłasza się po tylu latach!... Ale słuchajno, gdyśmy zostali sami, przeczytasz mi z Przeglądu wstępny artykuł.

Sabina przez chwilę oburzyła się całą duszą za to samolubstwo, nierozumiejące jój boleści i ślepe na jój obalone szczęście, ale zebrała całą odwagę i przeczytała żadaną rozprawę od początku do końca, nie opuściwszy jednej litery.

Gdy zamknęła się w swym pokoju, strach ją ogarnął, jak podróżnika którego burza zaskoczyła w chwili gdy już do portu zawijał.

— Wszystko skończonem! — szepnęła w swój głuchój i niemój rozpacz, — on mię już nie kocha!

## X.

Nazajutrz bardzo wczesnym rankiem Roger, zmęczony bezsenną nocą, wysuwał się z zamku. Napróżno usiłował uciszyć swe sumienie i chciał spróbować, czy świeże ranne powietrze nie rozjaśni mu splątanych myśli i w nowym świetle nie pokaże całej sprawy. Teraz wyrzucał sobie srogo, że tak łatwo uwierzył w przypuszczenia Floruni, która przecież mimo całej otwartości nie odkryła mu nic pewnego. A czyż to przypuszczenie dość było ważnym powodem, aby odwrócić się od kobiety nie zapytawszy jej o nie, która w każdym razie została mu wierną, czynem jeśli nie uczuciem? Przyznawał to przed sobą, że gdyby była młodszą, piękniejszą, bardziej ponętą, nie tak łatwo byłby się uchwycił podejrzeń jej siostry. W głębi duszy odzywał się jeszcze drugi głos oskarżający, który mu szeptał, że gdyby nie był obok swój narzeczonej spotkał tej dziewczynki, której obecność upajała go jak woń kwiatu, byłby z większą pochopnością starał się przekonać, czy Sabina istotnie żąda wolności.

Gdy tak przechadzał się pod niebem lekko zarumienionem jutrzeńką, i całą pierśią pochłaniał czyste, świeże powietrze, opuszczając go zaczęła trapiąca gorączka niepokoju i niepewności. Rozum odniósł zwycięstwo; nie usiłował już tłumić żądnych wyrzutów; powiedział sobie, że nie może opuścić la Rullière, nie ułyszawszy z ust Sabiny, iż ona mu pozwala rozporządzać swém sercem

i życiem. Zresztą, czyżby miał odwagę uciekać z zamku, na progu którego spotkał czarowne uosobienie ideału pierwszy raz w życiu? A jeśli Sabina zaprzeczając posądzeniom siostry zażąda nagrody za swą wierność, czy będzie miał większą jeszcze odwagę by nieprzepartą zaporę postawić między sobą a tём dzieckiem? Czy będzie śmiał wierność i miłość przysięgać tój kobiecie obojętnej i zwiędłej,—i czy będzie miał dość siły aby codziennie chłodno patrzeć na to dziewczę, które upajało go urokiem budząc uczucie, którego nigdy nie doświadczał w obec Sabiny! W trzydziestym czwartym roku spostrzegł, że zaczyna pierwszy raz kochać prawdziwie.

Podczas gdy pogrążony tak w myślach po polach chodził, wszystko dokoła budzić się zaczęło w naturze i ranne mgły pierzchały przed słońca blaskiem. Wpóśród odzywania się przepiórek i skowronków — gdy już ludzie do pracy wstawać zaczęli—zabrzęczał w oddali kościelny dzwonek. Roger mimowoli w tamtę podążył stronę i wkrótce znalazł się przed wieżą czworoboczną, dzikim bluszczem osłoniętą. Dziwacznej budowy kruchta prowadziła z niej do kościoła, około którego na cmentarzu były z różnych epok pomniki, jedne do drugich przyparte, jakgdyby śpiące tam pokolenia cisnęły się do siebie. Roger powiódł oczyma... tu i owdzie odczytał wyryty napis, między którymi wielka panowała różnorodność; były tam i w skromnych słowach zawarte pochwały, i napuszonym stylem wyliczone cnoty, i zasługi potężnych panów des Aulais. Śnaź wszyscy z tego rodu spo-

czywali tam, wyjąwszy tych, którzy na polu bitwy zginęli, zacząwszy od walecznego Jakuba des Allais, który w ziemi Świętej wojował jak to opiewała kamienna płyta napół zatarta i rozsypana,—a skończywszy na M. des Allais, którego twarz na piersiu uśmiechnięta i pogodna dowodziła, że człowiek ten nie miał na swém sumieniu większych zbrodni nad odbudowanie zamku według własnego gustu. Nazwisko to nie było obcém Rogerowi, przypomniał sobie, że słyszał je od Floruni, gdy mu wspominała o domniemanym rywalu. Mimo-woli téż zadał sobie pytanie czém mógł być potomek tak starój i szlachetnej rasy i wyobraził sobie, że to zapewne musi być jeden z wielkich, barczystych obywateli wiejskich, mówiący głośno, pijący wiele i najszczęśliwszy gdy fuzyą ma na ramieniu. Takim był niezawodnie za młodu ojciec Sabiny i takim musiał być bohater romansu tak mało jak ona poetycznej dziewczyny.

Gdy tak rozmyślając różne tworzył przypuszczenia, na drodze przeciwległej pokazał się jakiś mężczyzna; szedł on w stronę kościoła. Roger spojrział nań przelotnie, lecz uderzony niezwykają jego powierzchownością przypatrzył mu się baczniej. Sądząc z kroju sukien zaszczupłych i zakrótkich, jak u studenta który wyrósł z ubrania, i z włosów jasnych a długich, przypuścił, że to jest seminarzysta używający wakacyi. W dużych czerwonych rękach trzymał wielki bukiet róż, które otaczał staniem do tkliwości podobném. Stanąwszy w kručie ukląkł i pobożnie się przeżegnał. Msza prawdopodobnie ku końcowi się miała, bo wkrótce z ko-

ściola wyszło kilka wieśniaczek w ciemnych ubraniach, a wszystkie nisko się kłaniały przed dziwnym przybyszem. Roger pomyślał znów, że to zapewne nauczyciel z miejscowej szkółki.

Po chwili jasna postać zarysowała się na ciemnym tle wnętrza kruchty: Florunia de la Rullière stanęła na progu, świeża jak jutrzienka, w lekką sukienkę przybrana i w duży kapelusz słomkowy. Paluszki umaczała w wodzie święconej i zaledwie zdążyła zrobić znak krzyża, gdy zagadkowa osobistość podsunęła się do niej, podając bukiet z ukłonem poważnym a nieśmiałym, jakby proszącym. Dziewczę podziękowało nie podnosząc oczu i odeszło zlekka zapłonione. Mężczyzna pozostał i śledził ją wzrokiem dopóki tylko mógł widzieć. Roger przekonany był obecnie, że to ogrodnik w imieniu swego pana oddał bukiet Floruni, więc też nie namyślając się długo podążył za nią.

Dziewczynka zobaczywszy go aż cofnęła się ze zdumienia, a potem uprzejmie uśmiechnęła.

— Jak pan wczesnie wstałeś! — rzekła wesoło.

— A jednak później od pani.

— Ach! ja zachowałam to przyzwyczajenie z pobytu w klasztorze. Najpierw Boga odwiedzam i chwale, a później napawam się pięknnością wsi o tej porze. Czy pan nie czujesz jak ślicznie pachną pola i łąki?

— Nie, bo woń róż, które pani trzymasz, zagłusza wszelką inną.

Florunia spojrzała na bukiet, jakgdyby dopiero przypominając sobie o nim, i przysunęła go do zadumanej twarzyczki.

— To prawda, że pięknie pachną,— rzekła jakby z żalem.

— A ten, który je pani przysyła, powierzył im zapewne miłe zlecenia.

Dziewczę patrzyło na kwiaty ze współczuciem.

— Biedny Jakub! — szepnęła cicho. A potem, gdy oczy podniosła i zobaczyła utkwiony w sobie z chciwą ciekawością wzrok Rogera, zaczerwieniła się i zmieszana machinalnie powtórzyła: Biedny Jakub!

De Bargemont źle sobie wytłumaczył powód jej zmieszania. Gorzkie uczucie zazdrości ukłuło go w serce, przez siłę bólu dając mu poznać, jak już głęboko zapuściła korzenie ta świeża miłość. Nie raz dopiero przez cierpienie poznajemy skalę naszego uczucia. Każde nowe przywiązanie, które życie nasze zapełnia, pociąga za sobą cały szereg bólów i udręczeń — dlatego też samolub słusznie może się uważać za najszcześliwszego na ziemi; Roger nie będąc nim poczuł, że nie zazna już radości jeśli serce Floruni do innego należy.

Powiedziała: Jakub — był to więc zapewne Jakub des Allais? Teraz jeszcze bardziej pragnął poznać tego wiejskiego lowelasa, który umiał podbić serca obydwóch siostr, a sam naturalnie wybrał młodszą. Niezwyczajną musiała być ta osobistość, która tak szczególnie stawała mu na drodze i nagłe tak wielki wpływ na losy jego życia wywierała. W dniu poprzednim wzięczny był nieznanemu, że go zwolnił z zobowiązań względem Sabiny, a teraz chciał go przeklinać za to, że nie pozwalał mu szukać szczęścia w miłości Floruni.

Ale czyż ona go naprawdę kochała? Ta niepewność stawała się dla Rogera nieznośną. Wolał nowy ból sobie zadać a prawdę wiedzieć; a zresztą przekonawszy się, że jęj serce zajęte, może łatwiejby stłumił w sobie powstającą miłość. Lecz gdy już badać zamierzał tajemnice tego dziewiczego serca, tak się czuł zmieszanym, jakgdyby jakiś zły czyn popełniał.

— Zapewne utrzymujecie państwo stosunki z sąsiadami? — zapytał. Czy można w tęg okolicy mieć przyjemne towarzystwo?

— Oprócz jednęj rodziny nikogo tu nie znamy.

— A ona składa się?...

— Jak w bajce: z olbrzyma, którego się boję, — wesoło odparło dziewczę — i z dwu starych wrózek, z których jedna jest śmieszną dziwaczką, a druga, złośliwa i szydząca, jest właśnie moją matką chrzestną.

— I niema tam nikogo więcéj?

— Nikogo.

— A ten pan des Allais, którego znakomici przodkowie zamieszkują cmentarz...

— A, pan go zwiedzałeś? żywo zapytało dziewczę?

— Czy to panią gniewa?

— Ach, nie! — odparła zamyślona.

— Aleś mi pani na to nie odpowiedziała, gdzie mieszka ten pan des Allais?

— Nieopodal kościoła, w zamku dziwacznie upstrzonym wieżyczkami i zębatemi galeryjkami.

— Wszak się nie mylę, żeś mi pani wspominała wczoraj, iż to on miał szczęście czy nieszczęście zdobyć serce twojęj siostry Sabiny?

Florunia zastanowiła się i spoważniała nagle.

— Słuchaj mnie pan,—zaczęła—wczoraj spotkałeś mię w chwili rozdrażnienia, to téż mówiłam bez zastanowienia, nie myśląc o tém, co sprowadzić mogą moje słowa. Byłam rozżalona na ojca — nie potrzebuję mówić panu o co;—bardziej jeszcze rozżalona byłam na Sabinę, która mię ani trochę nie rozumie i chciałaby, abym posiadała już jój doświadczenie i rozsądek. Moje zaś przypuszczenia na tém się opierają, że spostrzegłam chwile, w których moja siostra, zazwyczaj chłodna i obojętna, rozgrzewa się jakby śnieg pod wpływem słońca. Ztąd wywnioskowałam, że kogoś kocha, a różne okoliczności wskazywały mi naszego sąsiada des Allais; i tém znów, że Sabina nie znajduje w nim wzajemności, tłumaczyłam sobie nieraz jój szorstkość. To téż wczoraj, gdyś mię pan zaskoczył niespodzianie i rozpytywać zaczął, zapomniałam, że cię nie znam,—i jak nierozważny dzieciak poczytałam zwierzenia, uciskana jakimś smutkiem w duszy. Ale co pan chcesz! Z klasztoru wychodząc nie wie się wielu rzeczy i co krok popełnić można niewłaściwości, zapóźno żałując. Trzebaby mieć przy sobie kochającą matkę, któraby uczyła jak tego unikać, albo jak złe naprawić. Ja tutaj nie mam nikogo—jestem jakby sama; czy mogę liczyć, że pan mi dasz w potrzebie jakąś radę? Czy nie bierzesz mi tego za złe?... Zapytała nagle zwracając się do Rogera.

W pierwszej chwili de Bargemont nie wiedział co odpowiedzieć, tylko wziął jój rękę i do ust przycisnął. Pocałunek ten musiał być wymownym,



bo Florunia strwożyła się i zakłopotwała jeszcze bardziej, a niewiedząc jak swe rumieńce skryć, znów się pochyliła nad różami.

— To ów pan des Allais przez ogrodnika przysłała pani te piękne bukiety? zapytał Roger.

— Przez ogrodnika? Ach, nie! Sam je przynosi co rano do kościoła, bo wie że tam przyjąć je muszę, a gdzieindziej potrafiłabym się tak urządzać, aby go nie spotkać!

— Więc pani uciekasz przed nim? Dlaczego?

— Ponieważ go się lękam... jak w cudownych baśniach o czarowniku, mała księżniczka boi się ludożercy, który ją ściga, by do swego zamku porwać i—zjeść.

Serce Rogera zadrżało z radości.

— A zatem nie kochasz go pani?

Florunia potrząsnęła główką, jak dziecko.

— Nie moja w tém wina!—rzekła z całą naiwnością. Wszystko robię aby dojść do tego, ale nie mogę.

— Jednakże starasz się pani o to? i chcesz?...

— O, tak! bardzo!...

— Ale czemu?

— Dla kilku nawet przyczyn. Najpierw dlatego, aby zadowolić ojca, który chce mię koniecznie wydać za Jakuba, na co ja nie pozwolę dopóki go nie pokocham. Boję się czegoś... o tak! boję się bardzo i czuję, że nieszczęśliwą będąc, umarłabym, gdyż nie zdołam walczyć i znieść swęj troski.

— Biedne dziecko! — szepnął Roger i dodał głośniejszym głosem: a drugi powód jeśli wolno wiedzieć?

— Potem dlatego, aby spełnić życzenia Jakuba, który mnie kocha... bardzo kocha... mogłabym go uczynić tak szczęśliwym... cicho mówiła oniesmiełona; — a w końcu...

— ...No cóż w końcu — pochwyił Roger, widząc że się waha.

— W końcu dla jednéj przyczyny, bardzo samolubnéj: chcę sama być szczęśliwą i potrzebuję aby pustkę w mojem sercu zapełniło uczucie tak silne, jak miłość którą Jakub ma dla mnie. Może się to panu wyda dziwném, dziecinném... ale widzisz, mojego serca nic dotąd nie zaprzętało. Nie znałam matki; ojciec... no, kocham go bardzo—ale... a Sabina nie pozwala się kochać, a przynajmniej okazywać tego. Mówi, że jestem rozmarzoną, zbyt poetyczną, tkliwą,—czyż w tém moja wina? Będąc w klasztorze bardzo byłam przywiązaną do moich przełożonych i towarzyszek, nic mi nie brakowało, nigdy nie byłam samą. Ale odkąd tu jestem... O! chciałabym wkońcu mózż pokochać Jakuba!

Wzruszony i oczarowany szczerością jéj wyznań, Roger zapomniał w téj chwili jak niejasne, fałszywe było jego stanowisko w téj rodzinie: zapomniał o dawnéj narzeczonej, jéj przysięgach i długoletniej wierności i widział tylko Florunię, małą, wątłą dziecinę z przed lat dziesięciu, wyrosłą obecnie na kobietę, która jednak do tego stopnia jeszcze była młodziuchną, że bez oporu i wahańia pozwoliła mu czytać w swém serduszkuz jak w książce, kartka za kartką. Pokusa nadto była silną; ażeby jéj się oprzeć, należało nie być mężczyzną, a przynajmniej nie być nawpół zakocha-

nym, jak Roger. Przystanął i zapytał cicho, niejako po ojcowsku:

— A mnie, Floruniu, czy tak trudno byłoby ci pokochać odrobinę? jak sądzisz?

— Pana?—szepnęła drżącym głosem—a!... może i nie! Tak mało cię znając wypowiedziałam wszystko—nie mam już przed panem tajemnic.

Zaledwie Roger wymówił swe pytanie, gdy już tego żałował; odpowiedź Floruni jasno przedstawiła mu stan rzeczy. Jeszcze go nie kochała — ale i on też nie miał dotąd prawa żądać od niej serca;—postępował obok dziewczyny w milczeniu; czuł jednak, że gdy miłość obudzi się w tej istocie, to ogarnie ją taką potęgą, jak burza porywająca drobny listek oderwany od gałęzi i miotająca nim dowolnie. A wtenczas, jeśli on nie będzie mógł stanąć przy niej i swoim otoczyć ją ramieniem, swoją miłością szczęścia jej zapewnić — to wąta i bezsilna może padnie ofiarą nawet śmierci. Tak rozmyślając, powziął postanowienie: za jaką-bądź cenę uwolnić się od urojonych więzów łączących go z Sabina, by odzyskać całą swobodę.

Ale jeśli Florunia myliła się w swoich przypuszczeniach, jeśli Sabina kochała go jeszcze, i to uczucie, starannie ukrywane przed młodszą siostrą, było dawną jej miłością, jeszcze spotęgowaną przez rozłączenie i samotność—coż będzie wtedy? Myśl tę odpychał, i z nieczułością człowieka, który już nie kocha, tłumaczył sobie, że jeśli w jej sercu zostały jeszcze jakieś szczątki przywiązania—o czem wątpił po chłodnym przyjęciu—to niezawodnie rozśadek łatwo będzie je umiał przytłumić i wytępić.

Przeszli przez warzywny ogród i dopiero Sabinę spostrzegli przy jednem z bocznych wejść do zamku.

Ona widziała ich zdaleka, ale ani Florunia ani Roger nie dostrzegli martwój bladości jęj twarzy. Znadto byli sobą zajęci, aby zauważyć sine obrączki koło jęj oczu. Roger, patrząc na nią, to tylko sobie pomyślał z niemiłosierną szczerością, że źle i brzydko na wiek swój wygląda. Co prawda, ubranie i otoczenie także nie dodawało jęj wdzięku: z ogromnym fartuchem suknię osłaniającym, i z pękiem kluczy u paska—stała, spisując na tabliczce liczbę krążków świeżego masła i całych tuzinów jaj, które przy niej rachowała dziewczka służebna.

Roger uklonił się i zatrzymał przed nią, z mocnym postanowieniem rozmowy.

Sabina nie przerywała swego zajęcia, z zupełnym spokojem napozór, jakgdyby wobec człowieka całkiem obcego.

— Gdy pani skończysz, czy będę mógł z tobą rozmówić się swobodnie? zapytał.

Sabina nie podniosła nań oczu i spokojnie odparła:

— Wątpię, abym znalazła nato czas dziś lub jutro; ale ponieważ pan nie wyjeżdżasz tak prędko, zaczekaj trochę jeszcze... To na dobre wyjdzie wszystkim; dodała bardzo cicho.

Z tęg odpowiedzi Roger wywnioskował, że dawna jego narzeczona uniknąć chce przykrych i kłopotliwych dla siebie wyjaśnień. Nie rzekłszy już więcej ani słowa, uklonił się i oddalił.

Sabina tyle przykładala zabiegów do tego, aby nigdy nie pozostać z nim samnasam, że ani nazajutrz, ani dni następnych nie mógł do skutku doprowadzić rozmowy, od której zawisła jego przyszłość. System zajęć w la Rullière tak był doskonałym, każdy miał tyle obowiązków, które koniecznie spełniać musiał, by nie zmącić porządku w tym ulu! Głową zaś wszystkiego była Sabina, która też najmniej z pozorów zdawała się gościom zajmować.

Naturalną więc było rzeczą, że bawienie Rogera powierzone zostało istocie poza obrębem ogólnej pracy będącą. Florunia z całą niewinnością dziecka pozwalała się ogarniać niepojętej sile, jaka pociągała ją do Rogera, i z rodzajem rozkosznego zdumienia witała w sobie każdy odcień uczucia miłości. Czuła że jest kochaną, wzrok jego ścigał ją wszędzie, jakby nieme bezustannie robiąc wyznania.

Roger śledził rozwój uczuć w dziewiczym sercu. Chciał być kochanym jak sam kochał raz pierwszy; pragnął zdobyć szczęście i urzeczywistnić marzenia swego życia, których wyrzekł się nieledwie, zgadzając się na związek z prozaiczną Sabiną,—a które długim tłumieniem spotęgowane, obudziły się z mocą jego samego zadziwiającą.

O swój miłości nie wspominał jój nigdy; a przecież dla dziewczęcia milczenie jego było poetyczniejszym wyznaniem, niż słowa Jakuba. Nie wyrzuty sumienia powstrzymywały go od uczynienia wyznania: uciszył je z łatwością; a widząc Sabinę

ciągle tak obojętną, zajętą i milczącą, doszedł do przekonania, że nietylko już go nie kocha, ale nawet radaby zatrzeć wspomnienia przeszłości.

---

## XI.

Jakub des Allais dowiedziawszy się o przyjeździe pana de Bargemont, serdecznie się ucieszył szczęściem, które miało nareszcie spłynąć na Sabinę. Przeczekał tedy pierwszych dni parę, które według jego mniemania mijały na wspólnej radości dwojga narzeczonych, i podążył szczere powinszowania złożyć swój przyjaciółce. Gdy zbliżył się do zamku, zobaczył ją właśnie na podwórzu czémś zajętą, i już wyciągał rękę z uśmiechem na ustach, gdy nagle aż się cofnął zmianą w jej twarzy uderzony.

Ani Florunia swém uczuciem pochłonięta, ani pan Albin, jak zwykle zaślepiony samolubstwem, nie spostrzegli, że tych dni kilka o całe lata postarzało Sabinę. Walczyła z całą mocą swój natury przeciw bólom i cierpieniom, które ją przejmowały do głębi, wzrastały jak morskie fale w przypływie — zalewając i niwecząc wszystkie jej nadzieje, złudzenia, całą jej przeszłość, przyszłość, wiarę w ludzi i w Rogera, — resztę jej młodości duszy i ciała. Te walki i męczarnie musiały uwydatnić się w rysach, które teraz przybrały wyraz surowy, nieledwie zły i ostry. Jakub zaledwie ją poznał.

— Co się stało?—zapytał niespokojny, zapominając właściwie poco przyszedł.

Sabina roześmiała się nerwowo, krótko a tak dziwnie i niemiło, że przypomniała w tém szydery śmiech ojca.

— Nic—odparła. Pan de Bargemont powrócił. Idź pan do salonu, znajdziesz go z Florunią.

Jakub nie rozumiał ile w tych słowach było goryczy; a ponieważ ona, nie dorzuciwszy już nic więcej, odeszła—on stał zdumiony, oniemiały, jak człowiek któremu grunt usuwa się pod nogami.

Gdy wszedł do pokoju, Roger mimowoli zmierzzył oczyma tego potomka wielkiego rodu, którego brał kolejno za seminarzystę, nauczyciela i ogrodnika, — i zaczął z nim obchodzić się grzecznie a ceremonialnie. Mimowoli obaj nawzajem się badali. Jakub zaledwie odpowiadał na pytania, cały ciężar prowadzenia rozmowy przybyszowi zostawiając. Zmiana w powierzchowności Sabiny przykrą mu była bezwątpienia, więcej jednak bolał go widok Floruni. Gdy kobieta kochała prawdziwie, uczucie to zdradza się w całej postaci, każdym ruchem. Napróżno usiłuje ona ukryć swą tajemnicę; uczucie jęj przelewa się przez brzegi serca jak zapełna czara. W duszy jęj tkwi dziwnie potężne światło, które rzuca blask niedający się przyćmić: jęj oczy, usta, czoło, rysy wszystkie oblane są jego promieniem!

Jakub nie słyszał ani jednego z uprzejmych słówek, które wystosowywał doń Roger świat znający; roztargniony, zakłopotany, rzucał od czasu do czasu jakiś oderwany wyraz bez związku z roz-

mową, utwierdzając Rogera w tém mniemaniu, że ma przed sobą nieledwie idiotę.

Swemi wyblakłemi oczyma pożerał z chciwą ciekawością Florunię, a gdy spostrzegł między nią a Rogerem zamianę tkliwego spojrzenia, które bezwiednie powstaje i dreszcz budzi, zerwał się i, chwytając kapelusz, wybiegł bez pożegnania. Roger temu nie bardzo się dziwił, odgadując przyczynę. Zaślepiiony zazdrością i cierpieniem, Jakub w drzwiach wpadł na Sabinę i omal jęj nie przewrócił; ona go zatrzymała i, palec na bezbarwnych ustach kładąc, pociągnęła do ogrodu w miejsce, gdzie była pewną że ich nikt nie posłyszcy.

— Czyś rozumiał? zapytała.

Jakub dłonie przycisnął do czoła i oczu, jak gdyby chcąc zasłonić się przed straszném zjawiskiem.

— Ach! czyż to nie przywidzenie chorobliwe mnie męczy?—wykrzyknął. Sabinol niepodobna aby to była prawda! Ach, to zbyt straszne?... A ty?... moja własna boleść, daje mi wyobrażenie o twojéj!...

Sabina powstrzymała go ruchem ręki.

— Cicho! zawołała surowo—żadnych rozwodzeń się i żalów. Przedewszystkiem proszę cię, abys nie litował się nade mną jak nad dziewczyną rozmarzoną, sentymentalną, która spazmuje i mdleje. Gdy kula nogę urwie, nie szukamy jęj, wszak prawda? Ale chcąc dalej chodzić każemy sobie inną z drzewa zrobić! To samo dzieje się z sercem, mój drogi. Gdy się nie skona odrazu, potem jest się zdrowszym jeszcze. Ja przeżyłam, ty przeżyjesz — i zobaczysz, że oboje doczekamy lat dziewięćdziesięciu.



Chciała się roześmiać, ale głos jój fałszywym zabrzmiał dźwiękiem.

— Nie mówisz prawdy, bo przekonania twoje są inne w głębi! odparł Jakub; a jeśli przypuszczenia nasze są słuszne, to ani ty ani ja nie pocieszymy się tak łatwo, nie pocieszymy nigdy. Ale to niepodobna! Oh! Sabino, powiedz, że się mylę, że dręczą mnie tylko senne urojenia.

— Dajmy pokój mrzonkom! Dość ich mieliśmy w naszym życiu oboje, ty i ja — ja, choć swoim czasem nie mogłam rozporządzać jak ty swobodnie. Od pierwszej chwili, gdym ich zobaczyła razem, przeczulałam niebezpieczeństwo — a w kilka minut potem kir zarzuciłam na me nadzieje i ziemią je przysypałam. Trzeba obok wszystkiego być sprawiedliwą: on, mój Roger—to typ człowieka ze wszystkimi przymiotami, piękny, szlachetny, odważny; a ona...

— Ach! ona...

— Tak, tak, wiem wszystko. A teraz spojrzymy na siebie i osądźmy bezstronnie: ty, mój przyjacielu, choć najpocziwszy i najzacniejszy, niczem nie błyszczysz, nieprawdaż? a ja... o mnie lepiej nie mówmy... a miejmy dość odwagi by sądzić sprawiedliwie. Oni się kochają—nic w tém dziwnego. Nam trzeba się z tém pogodzić. Oni oboje, widzisz, muszą być szczęśliwi; oni są do tego stworzeni. Florunia to zupełny obraz matki — sił nie ma za grosz... nie tak jak ja, — dodała, prostując swą wysoką postać; — nieszczęście by ją zabiło. A on, Jakubie, i on—trzeba... ażeby zaznał szczęścia... Rękawem niecierpliwie otarła kroplę wody—

czyż to łza potoczyła się po jej policzku? I odkasznęła, bo głos jej dźwięk tracił. Jakub, cichy i uległy zazwyczaj, buntować się zaczął.

— Jakiemże prawem żądasz ode mnie, abym dla kaprysu poświęcał to, co mi droższem nad życie?...

— Milcz!—nakazująco przerwała Sabina — Roger niezdolnym jest do robienia lekkomyślnych kaprysów.

Ale Jakub jej nie słuchał.

— ...Poświęcać się dla fantazyi człowieka obcego dla mnie, który zburzył twoje i moje szczęście.

— Zabraniam ci mówić, żem nieszczęśliwą — krzyknęła Sabina—to kłamstwo!

— Nie! raczej nierozsądnem dzieciństwem jest przeczyć cierpieniu, którego wielkość odczuwam mocą własnego.

— No, dajmy pokój tym rozczuleniom się — przerwała Sabina—czasu nie mam. Gajowy czeka na mnie od pół godziny, a za chwilę ma też przyjść weterynarz, bo koń i trzy krowy zachorowały. Nie mogę żarów rozwodzić, zresztą nie poto czekałam cię tutaj. Niebardzo wierzę ja w twą bystrość, to prawda; ale sądziłam, że jasno widząc stan rzeczy, prędziej zrozumiesz położenie. Otóż ja niezbyt również domyślna od pierwszej chwili gdym was razem widziała jak zbieraliście ślimaki—po których, mówiąc nawiasem, nie zmyły się plamy — spostrzegłam, że się mylę w swych planach, bo ty nie jesteś człowiekiem, którego jej na męża potrzeba. Teraz więc słuchaj mnie z uwagą, nie przerywaj. Oni się kochają — a my pogodzić się z tém musimy, bo cofnąć tego, zmienić nie

można. Usiłujmy zatem w swęj pamięci zatrzeć marzenia — ja to już zrobiłam — i nie bawmy się przez samolubstwo burzeniem ich szczęścia. Trzeba ażeby oni byli szczęśliwymi, trzeba! czy słyszysz Jakubie? Staraj się zapomnieć wszystkiego.

Jakub chciał jęj przeczyć, ale go powstrzymała dalej mówiąc:

— Niewolno mi przerywać. Jeżeli nie zapomnisz źle ci z tēm będzie... jak mnie było. Ale jednę rzeczy zabraniam ci stanowczo. Siostra nie wie o tēm, że Roger jest... że był... no, żeśmy się mieli pobrać. Gdy to się działo ona była tak małą, a później w klasztorze ją umieściłam, nie wspominając nigdy o zerwaném mojem małżeństwie. Powrotu Rogera ona nie rozumiała i nie przywiązywała do tego żadnego znaczenia, jak do każdych innych odwiedzin, któregośkolwiek z dawnych znajomych ciotki d'Essé. Przypuszczała, że jest wolnym, a teraz odkrywać przed nią prawdę byłoby okrucieństwem. Dwie zaś tylko osoby mogłyby ją w tym względzie objaśnić: ojciec i ty. Ojca się nie obawiam, wszystko mu jedno którą z córek poślubi pan de Bargemont, byle tylko został jego zięciem, ponieważ jest bogatym; ale tobie może przyjsć ochota wyjawienia prawdy, aby skorzystać z wyrzutów sumienia dziewczyny i do siebie ją pociągnąć... O, nie zaprzeczaj! dobrym jesteś człowiekiem, ale tego rodzaju uczucie zupełnie byłoby wytłumaczoném. Pamiętaj, iż stanowczo ci zakazuję wyjawiać kiedykolwiek przed Florunią, iż łączył mię z Rogerem ściślejszy węzeł — zakazuję

ci, czy mię słyszysz Jakubie? a ty przyrzekniesz mi posłuszeństwo w imię twojej miłości dla niej.

Oszołomiony i znękany Jakub wyjąkał coś, przysięgę czy zaprzeczenie—wszystko mu już było obojętném—serce miał zatrute. Sabina z żywością ujęła jego rękę i, silnie ją ściskając, pochyliła się ku niemu:

— Będiesz milczał! ja tego żądam, rozumiesz?

Szybko oddaliła się, nie czekając jego odpowiedzi i nie przypuszczając, że Roger z okna w salonie był świadkiem téj sceny, którą dziwnie sobie wytłumaczył, bo słów nie słyszał, a ruchy Sabiny łatwo mogły go w błąd wprowadzić!

---

## XII.

Łatwo dajemy wiarę temu, czego pragniemy. Pan de Bargemont sądząc z pozorów, które dogadzały jego życzeniom, przekonany był, że Sabina miłosne wyznania robiła Jakubowi, i sam bez wyrzutów sumienia oddawał się swemu uczuciu. Tego nikt się nie domyślał jakie męczarnie przechodziła Sabina. Nie oszczędzała sobie żadnej przykrości. Surowa w swych zasadach, jak uosobienie prawości, teraz zdala często śledziła i podpatrywała młodą parę, ułatwiała im schadzki w miejscach ocienionych drzewami, gdzie ukradkiem mogła nad nimi czuwać, suchém okiem pożerając ich szczęście, którego nigdy nie miała zaznać. Zda-

wało się, że z dziką rozkoszą, jak fakir indyjski, na męki się skazuje umyślnie. Inna kobieta byłaby pragnęła temi torturami dręczyć swą rywalkę a ona, z dziwaczną, niepojętą naturą, zadawała je sobie samęj. Ale cierpiąc powtarzała, że cierpi dla Rogera, i, siłą swęj rozpachy mierząc miłość, cieszyła się że tak wielką była.

Rogera nie obwiniała o nic i żalu doń nie miała. Dumna i wyniosła względem innych, wobec niego się upokarzała i przyznawała, że słusznie zrobił pogardzając nią, bo nie była godną jego przywiązania. Gdy zobaczyła go po latach dziesięciu, w jednej chwili zrozumiała, przy zdrowym swoim rozsądkiem, że nie była już odpowiednią dla niego towarzyszką. Ten długi przeciąg czasu wprost przeciwnie oddziałał na nich oboje. Jęj uroda i świeżość zwiędła wśród mozolnej pracy; życie jęj płynęło jednostajnie, ciężko, bez wytchnienia, bez przyjemności żadnej; nie ukrywała tego przed sobą, że głównie brakło jęj szczęścia, które nawet starca usta uśmiechem młodości opromienić potrafi. Roger tymczasem był właśnie w wieku, w którym męczyzna, zmierzywszy swe siły w walkach, postępuje krokiem pewnym, spokojnym, kieruje się zarówno sercem jak rozumem; jego uroda, harmonizując z usposobieniem wewnętrznem, była także w pełni rozkwitu. Sabina i dziś uwielbiała jego piękność, która, niegdyś niemało się przyczyniła do podbicia jęj serca.

Dnie upływały za dniami i tworzyły tygodnie ciężkie jak ołów i długie jak wieki dla Sabiny a szybkie i miłe jak sen uroczy dla Rogera i Flo-

runi. Dziewczynka zachowywała w swęj pamięci każde jego słowo, każde zdanie—składając te świętości w sercu, jakby w relikwiarzu, który każdy sobie tworzy dla wspomnień pierwszej miłości. Gdy Rogera nie było przy niej, żyła temi pamiątkami. Często przypominała sobie téż gorące słowa Jakuba; teraz pojmowała czego on doświadczał wówczas, żałowała go, ale zarazem uśmiechała się z politowaniem, przypominając sobie jak napróżno usiłowała obudzić w swém sercu podobną miłość. Poznała teraz wielką tajemnicę ludzkiego serca i rozumiała, że miłości nie można się nauczyć jak lekcyi, ani téż wzniecić jęj w sobie jak litości.

Róże Jakuba zwiędły w pocałunkach lipcowego słońca, i w salonie zamku la Rulliére były tylko polne bukiety przez Florunię i Rogera zrywane. Palce dziewczęcia niejednokrotnie poszarpały jakiś kwiatek podczas długich przechadzek, gdy Roger milczał wymownie, a ona przerwać mu nie śmiała; a niejedna téż wiązanka bławatów, stokroci, dzwonków i konwalij, schła gdzieś w kącie zapomniana, dopóki jęj nie wyrzucił gniewny pan domu. Nie można jednak powiedzieć, aby pan Albin w owym czasie wiele objawiał niezadowolenia, przeciwnie, rad był Rogerowi, bo obecność jego była dlań ważną i korzystną: bezpłatnie zyskał inżyniera. Zaraz nazajutrz po jego przyjeździe, rozumiejąc wartość rad człowieka, który własnym rozumem doszedł do majątku, pod różnemi pozorami oddał mu zarząd nad poważném dziełem... Chodziło bowiem o to, by rzekę opanować i bieg jęj odwrócić. Roger z ochotą przyjął tę pracę, za-

dowolony, że będzie miał powód do przedłużenia swego pobytu w la Rullière bez rozstrzygnięcia stanowczego sercowej kwestyi, której końca nie był w stanie przewidzieć; dotąd nie znalazł sposobności by mówić z Sabiną, a postępowanie jej ciągle było tak zagadkowem, jak z początku; milczała uporczywie i cały czas poświęcała gospodarczym zajęciom. Ponieważ Jakub nie pojawił się już więcej w la Rullière i bukietów nie przysyłał, Roger wyobraził sobie, że gdzieś widują się potajemnie.

Sabina tymczasem okrutnie cierpiała. Czasami pytała się samej siebie, czy jej sił nie zabraknie, gdy ta męczarnia dalej tak postępować będzie? Ale chciała być wytrwałą do końca; czyliż nie chodziło o zapewnienie szczęścia Rogerowi i Floruni, dwom najdroższym dla niej istotom? Razu jednego, gdy widziała jak snuli się po alejach parku, niby szczęśliwe duchy z raju Danta, bez goryczy podziwiała ich piękność. Zdawało się, że stworzeni są dla siebie. Czyż nie było naturalnem, że jak dwa świetne błyszczące motyle biegli do światła, do słońca, upajali się wonią kwiatów, pragnęli szczęścia! Ona, ponura pszczoła-robotnica, powinna była zostać w ulu i dalej tam pracować w zapomnieniu, ciszy—tam było jej miejsce przynależne, słuszne.

Widziała, że zatrzymali się przy jednej z kamiennych ławek, które przetrwały zmiany w staroświeckim parku. W milczeniu usiedli tam obok siebie. Za ławką rósł krzak dzikich malin, okryty białym kwiatem i czerwonym owocem. Florunia pociągnęła ku sobie gałązkę jagodami obciążoną

i zerwała najpiękniejszą. Roger ujął jej drobną rękę i do ust poniosł. Dziewczę roześmiać się chciało, by ukryć swe zmieszanie; a on ciągle trzymał tę rączkę małą, bieluchną, widocznie do pie-szczoty a nie do pracy stworzoną. I długo patrzył na nią, a potem z wolna, delikatnie do ust ją przy-cisnął, tak lekko, jakgdyby obawiał się, by nie zranić wątlęgo kwiatu.

Sabina, śledząca ich, w tył odskoczyła — jakby strzałą w same serce ukłóta. Mimowoli rzuciła okiem na swoją rękę dużą, opaloną, od pracy zgrubiałą. Na jednym z jej palców, na którym powinna była świecić ślubna obrączka, błyszczał duży pierścionek z rubinem otoczonym dyamenciami. Powstała żywo i z kryjówki się wysuwając, na pozór spokojnie, podeszła do Floruni.

— Nie zrywajcie się, nie zrywajcie! — krzyknęła zdaleka, widząc że chcieli wyjść na jej spotkanie; — tylko słowo wam powiem: Otóż widzisz, moja mała, ten pierścionek chciałam ci podarować — weź go; mówiła bezdźwięcznym głosem, co chwila przerywając, jakgdyby oddechu brakowało jej w piersi. Tylko mi nie dziękuj, nie lubię tego. Będzie on lepiej wyglądał na twoim białym palcu niż na mojej czarnej ręce. Zaduży jest dla ciebie?... ale to nic... wkrótce pewno będziesz miała inny wzamian za ten, dobrze dopasowany. Roześmiała się ze źle tłumioną goryczą. Rzecz dziwna! te pierścionki zawsze uciekać zwykły, jeśli ich nie przy-trzyma prosta obrączka złota... Zdaje się, że tak być musi...



Mówiła pośpiesznie, gorączkowo. Florunia niczego się nie domyślając, zarumieniona z uciechy, otoczyła ją ramieniem, chcąc okazać swą wdzięczność. Sabina szorstko ją odsunęła.

— Nie, nie całuj mnie—rzekła. Wiesz, że tego nie lubię. No, puść mnie—czasu nie mam.

— Sabino! szepnął Roger blady ze wzruszenia. Poznał swój pierścionek zaręczynowy.

Ale ona milczeć mu kazała ruchem i spojrzeniem, które rzuciły światło na prawdziwy stan rzeczy. Wyczytał w jej wzroku tyle bólu, obok bohaterskiego poddania i mimowolnych wyrzutów, że zadrżał. Straszne przypuszczenie zrodziło się w jego umyśle. Jeśli Sabina kochała go zawsze jak dawniej — jeśli chłodne przywitanie było tylko jednym z dziwnych wybryków tój natury namiętnej i zimnej zarazem?...Nie miał odwagi roztrząsać tój myśli, która stawiałaby go w rozpaczliwem położeniu. Inaczej teraz zapatrywał się na swe postępowanie i obwinał o nikczemną okrutność względem Sabiny, którą potępił nie wysłuchawszy. Serce mu szeptało, że zapóźno chcieć ten błąd naprawić. Zgnębiony tём odkryciem, patrzył na Sabinę nieruchomie; a ona z głową podniesioną szła krokiem wolnym, ciężkim, jakgdyby wlokła za sobą centnarowy ciężar.

Wszedłszy do zamku, podążyła do swojego pokoju na górze i tam się zamknęła. Przystąpiła do okna, odstłoniła firanki, wzięła zwierciadło i, w jasnym świetle siadając, rozglądała obraz w niem odbity. Liczyła srebrne włosy, które od kilku dni gęsto zaczęły przebłyskiwać w jej czarnych splo-

tach, przyglądała się drobnym zmarszczkom około ust i oczu rozsianym i całej twarzy zwiędłej i od słońca ogorzałej,—badła się bez litości, a potem głowa jęj ciężko opadła w złożone dłonie.

— I jam tego nie widziała wcześniej!—szepnęła. Jestem zwiędła, niemłoda, brzydka! Moja uroda minęła niepostrzeżenie; wszystko straciłam: młodość, przyszłość, moje nadzieje, miłość Rogera — wszystko uciekło ode mnie, obaliło się i rozsypało w gruzy. Jedna tylko rzecz mi pozostaje: przeszłość. Tęj nikt mi zabrać nie może ani zaprzeczyć! Roger dziś jest może niewdzięcznym, okrutnym, że w moich oczach siostrze oddaje serce, które niegdyś do mnie należało... ale przeszłości nie cofnie i nie zniweczy. Kochał mnie, kochał gorąco. Może teraz przyjsć dla mnie starość, zapomnienie, samotność—śmiało spojrzę im w oczy, szczęśliwa z mych wspomnień, dumna z męj przeszłości: on mnie kochał.

Biedne, udręczone serce!... Z energią tonącego chwytala resztki zdruzgotanego szczęścia, nie przypuszczając, że burza nie wyczerpała całej siły i gotowała dla nięj cios może nad wszystkie boleśniejszy.

Tego dnia pierwszy raz od dawna nie przybrała się do obiadu w swoje niegustowne stroje, które już z przyzwyczajenia kładła. A natomiast przywdziała suknię ciemno popielatą, kaszmirową, która w miękkich fałdach otaczała jęj postać; czarna koronka od niechcienia zarzucona na włosy urozmaicała surową regularność jęj warkoczy, i spływała na ramiona osłaniając głowę przejrzystym

cieniem. Roger oczekiwał jęj przyjšcia, a zobaczyşy ją tak odmienną, zdumiony był jakby nowęm odkryciem. Jęj rysy poważne i regularne, i oczy z bólu w dół zapadłe czyniły ją piękną w tém przybraniu i podobną do Matki bolejącej u stóp krzyża, na obrazach włoskich malowanęj. Dzwonek obiadowy ściągnął ją do sali; przybyła jednak trochę później, jak to zwykle czyniła od przyjazdu Rogera, aby uniknąć z nim spotkania samnasam. Ale on, chcąc koniecznie mówić z nią bez świadków, choćby chwilę, czekał jęj przy drzwiach w salonie, i gdy widział, że przejść zamierza koło niego obojętnie, rękę położył na klamce.

— Nie, Sabinol—rzekł stanowczo—nie puszcę cię—muszę z tobą mówić. Już dość długo mi tego odmawiałaś w dziwny sposób. Musimy się porozumieć: szczęście nas wszystkich na tém zależy. Gdybyś była nie odtręciła męj propozycyi od pierwszego dnia, byłoby się nam wiele cierpień oszczędziło.

Ona patrzyła mu prosto w oczy ze spokojem tak wybornie udanym, że nie wiedział co myśleć.

— O jakich cierpieniach pan mówisz? Czy o twoich—zapytała, — zdaje się, że nie dręcą cię zbytęcznie. A Florunia? nigdy w życiu nie była szczęśliwszą, cieszę się też...

Przerwał jęj z niecierpliwością.

— Ach! przez litość, skończ tę komedię, Sabinol! Chcę jedno pytanie ci zadać i odpowiedz mi z ręką na sercu: czyś zapomniała przeszłości? czyś przestała mię kochać?

Sabina wyprostowała się dumnie; oczy jęj zapalały ogniem, przymrużyła powieki.

— Czyś badał twe serce? Czy ono zachowało prawo do robienia mi podobnego pytania? odparła.

Jednym ruchem odsunęła jego rękę, ciągle na drzwiach opartą, i dodała ostro:

— Idź swoją drogą, a mnie pozwól iść moją. Jesteśmy wolni.

On skłonił się w milczeniu i usunął.

Dnia tego nawet pan Albin zauważył, że gość był niezwyczajnie milczącym i roztargnionym przy obiedzie. Ale Roger tłumaczył się wrażeniem, jakie na nim uczyniły wieści z nowych gazet.

Był to rok 1870. Wojna stawiała się nieodzowną, już swe krwawe ramiona rozciągała nad Francją.

Następnego ranka Sabina, zwykle równo ze słońcem wstająca, za ledwie oczy otworzyć mogła— tak była znużoną, tak znękaną wspomnieniem czy przecuciem. A był to dzień nadzwyczaj gorący, nawet noc nie zdołała odświeżyć dusznego powietrza. Słońce jeszcze wprawdzie nie wystąpiło na niebo w całej pełni, skwar jego już przecież czuć się dawał w rażącym blasku. Sabina otworzyła okno i siadła przy nióm, chcąc się trochę roztrzeźwić.

Westchnęła.

— Jeszcze jeden dzień męczarni! — pomyślała w przyszłość patrząc i usiłując zawczasu przedstawić sobie czém będzie jęj życie, gdy Florunia, ukochane dziecię, zostanie żoną Rogera, który był jedyną miłością jęj serca i marzeniem lat tyłu.

Gdy oni się pobiorą i odjadą, zostawiając ją samą, opuszczoną, skazaną całe życie na przebywanie przy ojcu obojętnym, szorstkim i starzejącym się z dniem każdym. Zniechęcenie ją ogarnęło, zwątpienie—poczuła brak odwagi i siły do tego życia, zamknęła oczy by zakryć przed sobą ten straszny obraz przyszłości, a myślą cofnęła się ku dniom ubiegłym, pięknym dniom wiary, nadziei, miłości pełnym. I jak przedtem powtórzyła sobie: Jednak mię kochał! tego nikt mi nie zabierze!—to moje!

---

### XIII.

Mimo wielkiego upału pan de la Rullière wczesnym rankiem wyjechał z Rogerem na jeden z oddalonych folwarków. Sabina podwajała swą czynność, chcąc tém przewyciężyć ociężałość moralną i fizyczną. Dzień minął jak inne. Wieczorem chłodny wietrzyk orzeźwił gorące powietrze, ptaki cicho siedzące podczas skwaru, zaczęły zawodzić wesołe śpiewy, a chmury muszek wirowały, w czerwonych promieniach zachodzącego słońca skąpane i podobne do złotego piasku, który mógł się rozpierzchnąć pod naciskiem silniejszego wiatru.

Sabina wracała z mleczarni. Zwiedziła obory, policzyła wyrobione sery, napomnienia dała swym donośnym głosem tym, którzy na nie zasłużyli, a przyznać trzeba, że każdy drżał przed nią. Nie zapominała o niczem i każde uchybienie i niedbal-

stwo umiała dostrzedz. Rozporządzenia na dzień następny wydała; wypełniwszy wszystkie swe zajęcia, wracała do domu; wtem posłyszała tentent konia. Przez wąskie szpary w ścianach stodoły zobaczyła Rogera, który z siodła zeskoczył i lejce oddał stajennemu chłopakowi. Potem szybko zwrócił się w stronę stodoły. Sabina w pierwszej chwili przypuszczała, że ku niéj dąży. Ale nie. Nigdy nie patrzył na nią w ten sposób, nigdy—nawet w najlepszych czasach ich miłości, twarzy jego nie oświecał ten wyraz uczucia. Odgadła téż obecność Floruni gdzieś w pobliżu, i nie omyliła się. Zobaczyła ją, cokolwiek z ukrycia wychylając głowę. Dziewczę, gorącem zmęczone a może i siłą swych uczuć wyczerpane, siedziało na jednéj z prostych ławek przed stodołą umieszczonych. Sabina stała tak blisko, że mogła ją była dotknąć za wyciągnięciem ręki—słyszała więc każde słowo rozmowy. Florunia pochyloną główkę opierała na ręce, topiąc paluszki w złotej fali rozplecionych włosów. Spostrzegłszy Rogera powstała, i, usiłując jakiś porządek zaprowadzić w swym stroju, tylko zwiększała malowniczy jego nieład; w końcu znów opadła na ławkę, zarumieniona jak różyczka.

On pochylił się nad nią i wzrok utkwiał w jej oczach.

Gdyby mógł był wiedzieć, z jak niemą rozpaczą śledziła go w téj chwili z ukrycia inna para oczu kobiety, podobnéj do Ewy z raju wygnanéj na zawszel...

Florunia pierwsza milczenie przerwała.

— Pan wracasz sam?... rzekła nieśmiało.

— Tak; ojciec pani został w Saint-Romuald. Mnie także chciał zatrzymać, ale potrzebowałem koniecznie cię widzieć. Już przeminął czas wahania i zwłoki, trzeba działać otwarcie, stanowczo. Wojna wypowiedziana — cóż mam czynić, moje dziecię?

— Jakto, jechać?—szepnęła Florunia. — Chcesz pan jechać? O, mój Boże!

Głowę spuściła z cichém łkaniem.

— Uspokój się,—tkliwie powiedział Roger.

Sabina poznała z dźwięku jego głosu, iż prawie zadowolonym był z jój żalu, który wykazywał przywiązanie.

— Wysłuchaj mnie cierpliwie, Floruniu, a po skończonej spowiedzi może mnieś będziesz mego wyjazdu żałować; twe uczucie może wyznania tego nie przeżyje. My kochamy się wzajemnie—tak jest, wszak prawda? choć nigdy nie mówiliśmy sobie o tém, bo słowa były zbyteczne; serduszko małej dziewczynki, która niegdyś usypiała na mojem ramieniu, bez oporu mnie się poddało. A ja kocham cię szalenie, kocham miłością, która do rozpaczy mnie doprowadza!... Tak, moje dziecię lubo! Pierwszém marzeniem mojej młodości było, ażeby spotkać w życiu istotę łagodną, kochającą, słodką, którą otaczałbym opieką i miłością. Ale niestety! mój sen zapóźno się urzeczywistnił. Gdym zobaczył cię po dziesięciu latach na polu, pod krzakiem róży, przytuloną doń jak ptaszę z gniazda świeżo wybiegłą, gdyś spojrzała na mnie twemi oczyma, w których przebijała się niby prośba o trochę ciepła i miłości — serce moje uderzyło gwałtownie

i odrazu przyłgnęło do ciebie. Czułem, że między nami będzie walka i miłość na śmierć i życie. Teraz więc możesz mię przeklinać, potępiać, możesz mi złorzeczyć, Floruniu! bom ja nie miał prawa dawać ci serca.

Dziewczyna powstała blada jak widmo.

— Nie miałaś pan prawa? jesteś więc żonatym?—wyjąkała.

— Żonatym? O nie, Bogu dzięki! Mniejszym jest mój występki niż przypuszczałaś; jestem raczjć nie-szczęśliwym niż winnym. Posłuchaj mego wyznania, a potem osądź. Opuszczałem Francją prawie przed samym dnem ślubu, a raczjć wiadomość o ruinie majątkowej zerwała małżeństwo już się zawrzeć mające. Lecz nieledwie zadowolony byłem z tego obrotu rzeczy. A wiesz dlaczego? nie kochałem narzeczonej.

— Czemuż więc zamierzałeś ją poślubić?

— Czemu? Bo wiedziałem, że trzeba się będzie ożenić wcześnię czy późnię, bo sierotą byłem bez domu, bez rodziny i przerażało mnie kawalerskie życie, bo jedna ze znajomych usiłowała pokonać moje wątpliwości i koniecznie do skutku pragnęła doprowadzić to małżeństwo, które w samej rzeczy odpowiednięm było pod względem wieku, urodzenia;—a w końcu dlatego, że ona, moja narzeczona—przyznać trzeba otwarcie—kochała mnie i może zanadto jawnie to okazywała. Była dumną i objętną względem innych; — nie byłbym tęż chyba mężczyzną, gdyby moję ambicyi nie podchlebiało jej przywiązanie bez granic.



— A ty jój nie kochałeś? nie kochałeś nigdy?  
— Nigdy.

Ciszę wieczorną przerywało szczekanie psów podwórcowych, nikt téż nie słyszał krzyku rozpaczy, który się rozległ w ciemnej stodole.

Roger dalej mówił:

— Szanowałem ją, bo miała charakter prawy i szlachetny, i umysł pojętny; uwielbiałem nawet jój piękność niezaprzeczoną, choć w moich oczach pozbawioną uroku. Surowy i szorstki jój charakter cochwila mię czémś raził. Powinienbym wspominać ją tylko z poważaniem i wdzięcznością, a jednak muszę ci wyznać prawdę — ponieważ tylko tym sposobem usprawiedliwić się mogę. Rozumiesz teraz dlaczego wieść o stracie majątku przyjąłem prawie z radością. Czeka mnie praca, walka, może nędza—myślałem—lecz jestem wolny! Ale tak nie było. Ona stanowczo nie chciała mi zwrócić słowa, którego żądałem, i, wierność przyrzekając, mnie również zobowiązała do jój zachowania. Był to czyn szlachetny z jój strony, gdyż ona miała majątek a ja biednym zostałem. Nie zatrzymywała mnie, gdym chciał jechać, ale mię puściła związanym słowem. Później nastąpiły lata ciężkiej walki, które ci opowiadałem. W chwilach zwątpienia żadna nadzieja, żadne wspomnienie odwagi mi nie dodawało, ani siły. To mię tylko podtrzymywało, że chciałem zwyciężyć złą dolę, chciałem postąpić jak człowiek honoru i nie pozwolić się kobiecie przewyższyć w szlachetności. Szczęście w pracy dopisywało mi lepiej niż się spodziewać mogłem. Powracałem do Francji z dużym majątkiem, bogaty w złoto

ale sercem ubogi, i drżałem na myśl, że będę musiał podźwignąć swe kajdany. Wracalem z najszerszym, najsilniejszym postanowieniem wykonania swęj obietnicy—wówczas spotkałem ciebie—wiesz już co było potem.

— A ona? — szepnęła Florunia. Ona? czyś ją widział? czy zawsze cię kocha?

Roger zawahał się.

— Widziałem ją. W pierwszej chwili sądziłem, że pokochała innego i dotąd nie sprawdziłem tego przypuszczenia. Dziś więc gdy wszystko wiesz, Floruniu, powiedz co czynić? Odwołuję się do twego serca zarówno jak do sprawiedliwości.

— Idź do nięj jak do mnie przyszedłeś — bez wahania odparła Florunia—idź i zapytaj się otwarcie. A gdy spostrzeżesz, że jęj przywiązanie zmalało, zesłabło, wyznaj przed nią całą prawdę i żądaj zwrotu słowa. Ale jeśli cię ona kocha jak niegdys kochała, jeśli przez te długie lata oczekiwania płakała za tobą, tęskniła i cierpiała dla ciebie—droga, którą iść powinienes — wytknięta. Niepodobna, abyś chłodną, okrutną niewdzięcznością płacił za szlachetność tęj kobiety, która w tēm jedynie zawiniła, że cię kochała nie umiejąc w tobie obudzić uczucia. Pytam własnego serca; stawiam się w położeniu tęj kobiety, któręj nie mogę lubić ponieważ jest moją rywalką, i, wszystko rozważywszy, odpowiadam ci: że pierwszym twym obowiązkiem do nięj się zwrócić—nie mamy prawa zabierać jęj szczęścia.

Teraz Roger jęknął boleśnie.

— A ty, Floruniu? cóż będzie z tobą? nie możemy cię poświęcać. O drogę dziecię! Jam pragnął na własnych ramionach przenieść cię przez drogę życia, abyś uniknęła kolców i cierni — pragnąłem zasłonić cię od najłżejszego wietrzyka — a dziś? czy podobna, żeby przywiązanie do mnie pozostawiło ci tylko boleść i żal.

— Boleść?... ach tak! cierpieć może będę, ale żałować nigdy! Nigdy żałować nie będę — gdyby mię nawet śmierć czekała.

I, pochylając się ku niemu, rzekła cichutkim szeptem, który dla niego brzmiał jak pieszczota.

— Jam tak była szczęśliwą z twojej miłości. Cokolwiek bądź się stanie, żałować nie będę żem cię kochała.

A po chwili milczenia zaczęła znowu.

— Słuchaj mnie, Rogerze. Sabina wymawia mi, że jestem beużyteczną, że nie mam energii, sił do pracy — i słusznie. Mało na świecie zrobić umiem i mogę; to też gdybym ztąd znikła, nie zostawiłabym wielkiej po sobie pustki. Jestem wątła, delikatna, jak moja biedna matka — nie zniosłabym może nagłego ciosu. Wolę niepewność, która przynajmniej pozostawi mi błysk nadziei. Ponieważ więc pytałeś mię o radę, pozwól, że ci powiem co chcę abyś uczynił: odjedź. Udaj się do tej kobiety, która nasze szczęście trzyma w swym ręku; jeżeli przekonasz się, że już cię zapomniała i nie kocha — powróć. W przeciwnym razie pozostań przy niej, nie wracaj i nic mi nie mów — ja cię zrozumieję.

— Nie, Floruniu. Jeżeli się przeświadczę, że mnie kocha — jeżeli koniecznie mam złamać jej życie

i twoje — to ani przy jednej ani przy drugiej nie zostanę. Pójdę na wojnę i żadna z was mnie nie zobaczy.

Florunia w tej chwili nie była zdolną ukrywać bólu i wyciągnęła ręce. On je ujął i do piersi przycisnął.

— Nigdy wiedzieć nie będziesz jak gorąco cię kochałem!—szepnął.

— Ale ona? — cicho rzekło dziewczę, nie usiłując oswobodzić się z jego objęć — czyś jój nigdy nie kochał? Powtórz mi to raz jeszcze.

— Nigdy! nigdy!—zawołał Roger. Nie kochałem i nie kocham nikogo prócz ciebie!

Gdy noc zapadła, Sabina znalazła się w swoim pokoju, ale sama nie wiedziała jakim sposobem. Jój się tylko zdawało, że marmur konsolki, do której przyciskała czoło, palił jak ogień i że krwista zasłona przykrywała drżący na niebie złoty sierp księżycy. Chciała zebrać myśli, które tak się rozpierzchały jak paciorki, gdy nitka je łącząca się zerwie. Jedna tylko rzecz jasno wybijała się z zamętu w jój głowie, jedno słowo brzmiało wielitościwie w jój uszach: nie kochał mnie nigdy!

---

#### XIV.

Pora konfitur była nader ważną dla panny Izabelli. Na długi czas przedtem już rozmyślała kiedy co smażyć i radziła się całej biblioteki przepisów, pozostałych po jakiejś prababce.

Panna Izabella miała swoje laboratorium, gdzie stało mnóstwo naczyń jak złoto świecących i dowodziła zastępem służebnych dziewczyn do pomocy. Bawiła się gotowaniem i smażeniem, wiedząc, że niegdyś robieniem masła bawiły się w Versalu wielkie damy, które byłaby rada wskrzesić.

Teraz nadeszła pora renklod; i panna Izabella, w koronkowym czepeczku, z fartuszkim haftowanym i wyfalbankowanym, kręciła się między służącymi, które cukier ważyły, owoc nakłówały, przekrawały i t. d. Słoiki już stały gotowe na stole, a pani wycinała okrągłe kartki, które wypisywała siostra jój, także z fartuchem założonym na surdut, pomagająca niby coś z łaski.

Część roboty się skończyła i równocześnie też zabrzączał dzwonek południowy, na obiad wzywając. Batalion służących zniknął w okamgnieniu; siostry pozostały same.

Panna Izabella swoim cedzącym głosikiem rozwodzić się zaczęła nad dobrocią i obfitością renklod.

— To ulubiony przysmak Jakuba,—mówiła dalej;— w zeszłym roku zjadł cały zapas, trochę tylko rozdałam chorym i proboszczowi ofiarowałam sześć słoików. A teraz gdy ich mamy tak wiele, można by twój chrzestnej córce podarować parę. Czy nie zauważyłaś tego, moja droga, jak ona dawno nie była u nas? Żal mi tego ze względu na Jakuba, który jest jakoś bardzo smutny.

— Prawda, że smutny i zmieniony?

Panna Teresa coś mruknęła niewyraźnie.

— Jakub sam mógłby je zanieść—ciągnęła starsza—zobaczyłby ją przy téj sposobności.

Panna Teresa znów mruknięciem odpowiedziała.

— Teresko, — po chwili zaczęła Izabella, głos zniżając — czy to nie czas aby Jakub się ożenił? Twoja chrzestna córka jest wprawdzie bardzo młoda, ale ja czuję, że koniec mój nie tak daleki: reumatyzm coraz bardziej mi dokucza, a nie chciałabym przecież ze świata schodzić zanim zobaczę nowe pokolenie rodziny des Allais. Nie powinniśmy zapominać, że Jakub jest ostatnim z rodziny, a dość długo zwłóczył z ożenieniem. Może to i nasza wina, ale w końcu niema czego żałować—Florunia jakby dla niego wyrosła.

— Hm! wcale inaczej to widzę — odparła Teresa—nieodpowiednią żoną dla niego jest ta kuropatwa, bez woli, bez energii, bez zdania — jak z bawełny lalka. Sabina—to żona dla niego!

Panna Izabella obróciła się żywo.

— Sabina? chyba żartujesz, moja droga. Dobrze, iż ani prawdopodobieństwa niema, żeby się tak stać mogło, bo jej nie powierzyłabym nigdy szczęścia naszego dziecka. Tak się różnią usposobieniem, ona sama proza, on poezya...

— Ba! — przerwała młodsza — a czyż my obie jesteśmy podobne z sobą, a przecież niezłą stanowimy parę? Sabina, choć lubi ze mną sprzeczki i docinki, jest sto razy więcej warta od swojej siostry, i gdyby mnie Jakub pytał o zdanie—powiedziałabym mu to otwarcie.

— Jesteś niesprawiedliwą Teresko; nie pojmuję co masz do zarzucenia téj dziewczynce tak dobrej, łagodnej i cichej.

Zniecierpliwiona panna Teresa rzuciła pióro i splamiła atramentem jedną z pięknie wypisanych kartek.

— Gniewasz mnie z twemi pochwałami dla tój turkawki roztrzepanej, zalotnej, bez rozumu i serca.

Panna Izabella z przerażeniem spojrzała na siostrę.

— Cóż się tam stało? — zapytała.

— A! możesz się pytać! Śliczne rzeczy dzieją się w la Rullière pod nosem tego samoluba Albina, który nic nie widzi. Gdybyś nie siedziała tak zamknięta...

— Czy małżeństwo Sabiny zerwane?

— Małżeństwo?... a tak, w samęj rzeczy. Ten szanowny jegomość, który powrócił nie wiem po co, bo lepiej byłby zrobił siedząc w Kochinchinie czy tam gdzieś u dyabła — umizgi zaczął do Floruni, widząc że Sabina nie tak świeża i ładna jak przed laty. A ta gąska dała sobie głowę zawrócić wielkiem państwem tego awanturnika i teraz tylko ich dwoje spotykasz wszędzie. Sabina okropnie się zmieniła, wygląda starzej ode mnie. Jakub... biedny chłopiec! lepiej nie mówmy o nim. A ten mądry Albin nic nie widzi, czy widzieć nie chce, bo mu pan de Bargemont roboty prowadzi, których nie chciał się podjąć żaden inżynier. A! już mi nie wspominaj o tój dziewczynie, one wszystkie tak niewinne skromnisie ze słodkimi oczyma. Sabina tylko ten błąd popełniła: że mnie jęj nie oddała na wychowanie. Byłaby ona inna z pewnością!

— Unosisz się moja droga — przerwała starsza.

— A przedewszystkiem czy jesteś pewną tego, co mówisz?

— A! nie jestem przecie ślepa.

— Jakub wie o tém?

— Dobre pytanie! Sama wszakże zauważyłaś, że jest zmienionym; nie je, nie pije.

— I ty przypuszczasz, że Florunia zdaje sobie sprawę z tego, co czyni, ucha nadstawiając słodkim słówkom tego galanta?... Że wie jakie były jego zamiary, gdy powracał do la Rullière? A ja ci powiadam, że to jest bardzo prawdopodobnem, że ona nie słyszała nigdy o zerwaném małżeństwie Sabiny i o tém, że narzeczonym był pan de Bargemont. Sabina jest skryta, niełatwo się zwierza-jąca i dumna; mogła więc wcale nie wyjawiać przed nią prawdy, zwłaszcza jeśli odrazu spostrzegła słabość Floruni do tego przybysza... O! ja lepiej niż ty znam Sabinę.

Przerwała jakgdyby dla namysłu i po chwili znów zaczęła:

— Wiesz ty, co ja bym zrobiła na twojem miejscu będąc, Teresko? Przecie tu chodzi także o szczęście naszego dziecka. Florunia matki nie ma; twoim więc obowiązkiem nieść jej radę; a ja ci zaręczam, że źle sądzisz to dziecko: jej nie brak serca. Przekonaną jestem, że gdy jej odkryjesz co robi, że niweczy Sabiny i Jakuba szczęście, to ona wyleczy się z tego zawrotu głowy, — bo nic więcej tylko prosta fantazyja rozmarzonej dziewczyny. Niepodobna aby przekładała tego awanturnika nad naszego chłopca, który jest tak poczciwy, łagodny, cichy. Idź do niej i prosto przemów po ma-



cierzyńsku, ze słodyczą, ale i ze stanowczością. Wierzej mi, że to będzie najlepszy sposób.

— Masz słuszność. Pójdę, pójdę nawet dzisiaj.

— A nie, moja droga! poczekasz na konfitury. Osobno zrobię dwa słoiki dla Floruni, zaniesiesz je ode mnie, będzie to wyborny pozór twych odwiedzin. Co prawda, zawczasie zawiązywać je jutro, ale trudna rada! Biedny Jakub i Sabina!... Ach, Teresko! to byłoby okropne.

W skutek tej rozmowy panna Teresa w dniu następnym wsiadła do karyolki, którą jeździła na targ i wyruszyła do la Rullière. Byłaby wolała pieszo odbyć tę drogę, ale jechać musiała dla wielu przyczyn: upał był ogromny, słoiki wymagały troskliwości, przywdziała suknie kobiece, które jej się wydawały odpowiedniejszym strojem przy wypełnianiu tak ważnej missyi. To ubranie zawadzało jej, suknia długa plątała się między nogami; wyglądała raczej na przebranego mężczyznę niż na kobietę; włosy miała obcięte i ruchy zamaszyste.

Stanąwszy w zamkowym podwórzu wyskoczyła z karyolki, zaczerwieniona jak burak z gorąca, i zakłopotana słoikami, z którymi nie umiała sobie radzić. Zamek był prawie pustym, pan Albin nocował w Saint-Romuald, dokąd o świcie pojechał Roger. Sabiny nikt nie widział tego ranka, wiadano tylko, że przed wschodem słońca wyszła.

Sabina wymknęła się w samej rzeczy z domu, nie należała bowiem do kobiet, które mogą bezczynnie siedzieć zamknięte ze swą boleścią. Gdy odzyskała zupełną przytomność po nowym gro-

mie—z rodzajem dumy i gniewu chciała się otrząsnąć z martwoty, która ją ogarnęła. Szukając próżno niemożliwego spokoju, wybiegła z odkrytą głową i szła przed siebie nie myśląc gdzie dąży, poto jedynie aby się znużyć. Szła długo i długo, aż w końcu nogi zmęczone odmówiły jęj posłuszeństwa. Wtenczas dopiero pomyślała aby wracać do domu. Słońce już wysoko było na niebie; panna Teresa u swęj chrzestnej córki zjawiała się z konfiturami.

Florunia wyglądała bledziutko, sine obrączki podkręzały jęj oczy, świadcząc o łzach wylanych. Próbowwała uśmiechnąć się do przybyłej i podziękować jęj za podarunek; nerwowe drżenie spędziło uśmiech z jęj ust.

— Tak gorąco!—szepnęła, czując że częms potrzebuję usprawiedliwić swą bladość. Niech pani wejdzie i odpocznie—jestem sama—dodała.

— Tem lepiej!—odrzekła panna Teresa.

Prawdę powiedziawszy, nader niemilęm było jęj posłannictwo, którego się podjęła, i tylko myśl o Jakubie wstrzymywała ją od ucieczki. Nie wiedziała jak wziąć się do rzeczy. Usiadła, wzdychając gęęboko. Z zakłopotania więcej niż z gorąca kroplisty pot występował na jęj czoło, i, nie mając wachlarza, zapalczywie chłodziła się jakimś dziennikiem.

— Mniej gorąco byłoby pani, gdybyś zdjęła kapelusz,—rzekła Florunia, byle coś powiedzieć!..

Panna Teresa rozwiązywać zaczęła szarfy, przytrzymujące na jęj głowie istną wieżę z piór i kwia-

tów, ale nie umiając z tēm sobie radzić, coraz mocniej zacieśniała węzeł.

— Niech mi pani pozwoli—odezwało się dziewczę.

Stara dziwaczka z pewnym niezadowoleniem wyciągnęła podbrodek i Florunia drżącymi palcami usiłowała rozplątać wstążkę.

Wtēm panna Teresa chwyciła jej rękę, i, odalając ją, bo zbliżka nie widziała, rzekła:

— Cóż znaczy ten pierścionek na twoim palcu?

— Dostałam go od Sabiny. Ona zawsze go nosiła.

— I to ona ci dała?

— Tak, — odparła Florunia, nie pojmując co w tēm tak dziwnego.

— No, to radzę ci, moja mała, żebyś bardzo podziękowała za ten upominek. Jest to bowiem jej zaręczynowy pierścień. Dziwnie sobie postąpiła oddając go właśnie wówczas, gdy narzeczony powrócił.

— Narzeczony!... Sabina!...—wyjąkała Florunia, zaczynając trochę przeczuwać straszną prawdę.

— No tak, jej narzeczony pan de Bargemont!—nieledwie krzyknęła panna Teresa.

Lecz po chwili obudziła się w niej litość, gdy widziała, że dziewczę zbladło jeszcze bardziej i nieruchome siedziało jak z kamienia.

Zdarzało się, że panna Teresa w swoich wycieczkach na polowanie patrzyła na śmierć ranionej sarny, wówczas mimo zwykłej obojętności budziło się w niej kobiece serce pod wpływem żalosego wejrzenia ofiary. W tēj chwili doznała tegoż samego uczucia. Patrząc na niemą a rozdzierającą

rozpacz, niewiedziała co robić — pragnęła jak najprędzej uciec. Skorzystała więc z pierwszej jakiejś sposobności, powstała żywo i, zapominając nawet o koniach które na nią czekały, spieszenie wracała do domu.

## XV.

— Więc pan zamysłasz nas opuścić, — mówił pan de la Rullière do Rogera, gdy konie zmęczone skwarem wolnym postępowały krokiem pod cieniem drzew lasku des Allais. Nie jest to jednak zamiar stanowczy, nieprawdaż?

— Tak, niezupełnie...

— Tém lepiej. Mam nadzieję, że pan zmienisz swe postanowienie. Bo doprawdy byłbym zrozpaczony gdybyś odjechał. Roboty postępują tak świetnie, a chociażby można je ukończyć według planu i wskazówek, zawsze to wielka różnica; podwładnych nigdy pewnym być nie można. A przytem wojna..., sława..., wszystko to rzeczy bardzo piękne, ale majątku nie dają, a w dodatku i życie stracić można; nikt nie jest pewnym, że cało powróci. Roześmiał się głośno, jakgdyby powiedział coś dowcipnego. Wierzaj mi pan, że lepiejbyś zrobił osiedlając się tu w kraju. A właśnie wiem, że jest do sprzedania w tym czasie majątek z drugiej strony des Allais, z pałacem, parkiem, z wodą i lasem—jak dla pana. Złe byś zrobił nie korzystając ze sposobności, która niełatwo zdarzyć się może, i...

— Nie mam zamiaru osiadać w kraju,—chłodno przerwał Roger.

Pan Albin stracił cierpliwość.

— Drogi panie,—zaczął po chwili,—pozwól, że będę mówił z tobą otwarcie, jak to zwykłem czynić. My nie należymy do ludzi, których się odwiedza tylko dla przyjemności. Pan także nie przyjechałeś bez jakiegoś powodu, ale odgadnąć go nie umiem. Nie przyjechałeś poto, aby ze mną rozmawiać, a tém mniej aby platonicznie patrzeć w piękne oczy Sabiny, która już nie jest ani młoda, ani bardzo ładną. Jeżeli więc nie weźmiesz mi tego za naganną ciekawość, zapytam cię, jaką była przyczyna, a głównie jaki rezultat twoich odwiedzin? Jeżeli nie zamyślałaś ani w tej okolicy się osiedlić, ani też zawiązać z Sabiną zerwanego stosunku, to pozwól że powiem ci szczerze, iż chociaż z przyjemnością powierzałem ci nadzór nad mojami robotami, byłbym wolał cię nie widzieć. Sabina od twego powrotu zmieniła się — trudno zaprzeczyć, że się zmieniła; — niema wprawdzie omyłek w rachunkach i księgach gospodarskich, ale znać w nich brak myśli, głowy. Mnie się taki stan rzeczy nie podoba. Nie przyjmowałem zarządcy na własne jej żądanie, ale też potrzebuję aby interesu dalej szły jak dotąd. Niedokładności i zaniedbywania się nie znoszę. Sabina w zwyczajnym czasie jest nieocenioną kobietą, muszę jej oddać tę sprawiedliwość. Miałem nawet zamiar podwoić cyfrę jej posagu, gdyby zamąż wychodziła; święcie zasłużyła sobie nato, trzeba ją wynagrodzić.

Tak jednakże jak dziś jest, trwać nie może. Do-  
myślam się ja trochę, co być miało a do skutku  
nie przyszło:—pan, jako człowiek honorowy, powra-  
całeś aby się z nią ożenić — nieprawdaż? przyznaj  
się pan!

— Rzeczywiście,—odparł Roger.

— Przypuszczałeś pan, że zastaniesz ją tak białą,  
rumianą, świeżą, jak była wówczas gdyś odjeżdżał,  
a zobaczyłeś, że zmieniła się bardzo — no, śmiało!  
Wszak prawda, że się nie mylę?

— A więc, tak! istotnie—zawołał Roger, który  
zrządzenie Opatrzności upatrywał w tém, że pan  
Albin mówić z nim zaczął w téj kwestyi. Tak,  
tak — zastałem ją bardzo zmienioną; lecz nie  
o powierzchowność mi chodzi. Nie pogardziłbym  
kobietą, która czekała na mnie lat dziesięć, dla  
tego jedynie powodu, że łzy przygasiły blask jej  
oczu a tęsknota pobieliała włosy,— jej serce zupeł-  
nie się dla mnie zmieniło. Po zimném, obojętném  
przywitaniu, na pierwszy rzut oka poznałem, że  
już nic dla niej nie stanowię, że mój powrót za-  
miast przyjemności, jakieś zakłopotanie czy wstyd  
jej sprawia — poznałem, że jakkolwiek ja rzetelnie  
dochowałem jej wierności, którą mi nakazała, nie-  
raz nawet poświęcając wiele, ona nie umiała swe-  
go serca dla mnie zachować.

— Pięknie, bardzo pięknie, mój kochany przy-  
jacielu, tylko się nie unoś. Przedewszystkiem po-  
wiem ci, że ja na sprawach uczuciowych nic a nic  
się nie znam. Interesa—to moja rzecz! Ale mówisz,  
że Sabina,—twojego chcąc użyć języka,— że ci nie

zachowała serca. Cóż zatem z niém zrobiła, jak przypuszczasz?

— Oddała je drugiemu.

— A komuż?

— Jednemu człowiekowi który tu bywa, panu des Allais.

Pan de la Rullière niecierpliwie ruszył ramionami.

— Ach więc pan ani razu nie rozmawiałeś ze Sabiną odkąd tu przebywasz, i tak mało wiesz o naszych projektach i interesach familinych?

— Nie mogłem się z nią porozumieć. Napróżno żądałem tego. Unikała mnie z taką usilnością, żem tylko utwierdził się w swoich domysłach.

— A, bo widzisz pan, Sabina odmienną jest od wszystkich kobiet. Ja brzydzę się paplarkami, ale ona znów zadaleko posuwa małomówność. Nie wiedziałeś pan zatem, żeśmy mieli zamiar połączyć majątek des Allais z la Rullière przez małżeństwo? Najpierw, chciałem Sabinę wydać za Jakuba, ale!.. trzeba ci było widzieć, jak przyjęła tę propozycją! To zniewaga, obraza i t. d.. Całego słownika wyrażen kobiecych użyła, którym przecież niechętnie się posługuje. I, chcąc mnie uspokoić, ona sama poddała myśl, aby tę małą odebrać z klasztoru i z Jakubem połączyć. Postępowało to jednakże wolno, bardzo wolno. Jakub jest dobrym człowiekiem, ale, między nami powiedziawszy, okropny ślamazara—na zięcia wyborny...

Silnie zakaszłał pan Albin, zapóźno przypominając sobie, że mówi do człowieka, który także

mógł zostać jego zięciem. Niedorzeczność swą chcąc zatrzeć, zaczęł:

— To prawda, że ta mała nie jest tak rozumną jak Sabina. Nie wiedziałaby co począć z człowiekiem wyżej wykształconym, jak pan na przykład. Sabina to zupełnie co innego. Jestem przekonany, że nigdy nie byłaby inaczéj patrzyła na Jakuba, chociażby nawet nie uważała się za związaną. O! to mąż nie dla niej; zapewniam pana, że ani na chwilę nigdy nie pomyślała o nim. Zresztą jeśli pan chcesz, to ją zapytam. Sabina jest dumna—pan jéj nie znasz jak ja. Bała się pewno, aby nie wyglądało na to, że gwałtem ci się narzuca gdyś powrócił, i dlatego nie spieszyła aby z tobą rozmawiać; ale jeszcze raz ci zaręczam, że nie przestała uważać się za twoją narzeczoną, kochać cię i czekać.

— Jesteś pan tego pewnym?—zapytała Roger.

— Najzupełniéj.

— To dobrze. Dziękuję panu za objaśnienia.

Roger już wiedział teraz czego się trzymać. Już nie pozostawały mu żadne wątpliwości, wahać się dłużej nie było mu wolno; sama Florunia wskazała mu drogę. Ani jednego słowa nie powiedział więcéj, wkrótce stanęli w dziedzińcu zamkowym.

Sabina wracała z wycieczki znużona, kurzem okryta, z włosom rozrzuconym, ale panująca nad sobą, z głową do góry podniesioną; milczeń kazała sercu, cierpienie z dumą przytłumiła, chciała być jak zawsze zwyciężcą siebie. Z mieszkańców zamku najpierw zobaczyła Florunię, bladą jak widmo i do tego samego miejsca przykutą, na któ-



rém pozostawiła ją panna Teresa. Sabina prosto ku niéj dążyła, lecz zatrzymała się nagle o kroków kilka. Dziewczę się podniosło, oparło o mur i patrzyło na nią wzrokiem nieledwie obłąkanym z trwogi. Teraz już niebyły to dwie siostry naprzeciw siebie stojące, ale dwie rywalki, dwie kobiety kochające jednego człowieka i wiedzące o tém, że jedna drugiejj jest zaporą do szczęścia—jedna z nich była wybraną, a druga odepchniętą, śmiertelnie zranioną. Stały naprzeciw siebie, przerażone wzajemnie swym widokiem. Florunia rozpatrując zmienioną twarz siostry, której rysy w ciągłej walce z rozpaczą przybrały surowy wyraz kamiennych posągów, przypuszczała, że Sabina przychodzi do niéj z wyrzutem i groźbą, to téż z niewiarą i strachem mimowoli cofała się przed nią.

Sabina nie wiedziała o wizycie panny Teresy, ale na pierwszy rzut oka odgadła, że dziewczę zna imię swéj współzawodniczki. Zatrzymała się téż nie wiedząc co czynić. Jakuba oskarżała o zdradzenie tajemnicy, i to ją bolało ogromnie, że w błędnej twarzy Floruni czytała tylko przestרח. Obie cierpiały w téj chwili niewysłowione męczarnie. Siostrami były, a nie rozumiały się nigdy. Sabina lekceważyła miłość Floruni, która jéj się wydawała zanadto wrażliwą, by czuć mogła silnie i głęboko; a dziewczę znów nigdy nie dowiedziało się o bezmierném poświęceniu siostry.

I w téj chwili Florunia źle osądziła Sabinę. Zdawało jéj się, że tylko nienawiści, wymówek od niéj czekać może; tém jéj milczeniem gnębiona, omdlewała nieledwie z trwogi. A gdybyż była mo-

gła zjrzeć w to skryte serce! Byłaby w niém zobaczyła litość bez granic, współczucie tkliwe i wdzięczność głęboką za szlachetne słowa do Rogera wyrzeczone w obronie praw dawniej narzeczonej. Sabina pragnęła w swe objęcia wziąć siostrzyczkę, jak w owej smutnej uroczystej chwili, gdy konająca matka ją oddawała jej opiece. Czuła się wzruszoną tem wspomnieniem, które żywo stanęło przed nią, bo obłąkany wzrok dziewczęcia przypominał jej wejrzenie umierającej. Jeden krok, jedno słowo byłoby wystarczyło, aby zbliżyć te dwa serca do siebie i pojednaniem przynieść wzajemną ulgę. Ale Sabina nie mogła wyrzec tego słowa. Jej natura niepodległa, odtrącająca wszelkie objawy czułości, silniejszą była od woli. Cierpiała okrutnie, lecz nie zdołała przewyciężyć siebie i odwróciła się chłodno, wyniośle. W drzwiach spotkała Rogera. Nie patrząc na Florunię, podał jej rękę.

— Przychodzę się pożegnać—powiedział złamanym głosem—jutro wyjeżdżam na wojnę.

Krzyk stłumiony się rozległ i Sabina skoczyła ku młodszej siostrze, która bez przytomności leżała na ziemi.

---

## XVI.

Wielka familijna karetta majestatycznie toczyła się po drodze wiodącej z zamku des Allais do kościoła. Na koźle siedział wystrojony, brodaty woźnica, przy nim, w roli lokaja, chłopak wiejski, ubrany także w liberyjne szaty. W ten sposób

zwykle jeżdżono co niedziela na mszę. Wewnątrz, na pierwszém miejscu, siedziała panna Izabella w kwiecistych materyach, piórach i t. d. W rękę trzymała drogocenną książkę do nabożeństwa, której mogłoby jej pozazdrościć każde muzeum; była ona za relikwią uważana w tym rodzie i po śmierci obecnej właścicielki miała się dostać przyszłej żonie Jakuba.

Panna Teresa ponura i niezadowolona z kobiecego stroju, który przywdziać musiała, siedziała przy siostrze; naprzeciw niej był Jakub, także nieszczęśliwie wyglądający w czarnym surducie, wysokim kapeluszu i rękawiczkach. On i młodsza ciotka dotąd ust nie otworzyli, ciszę przerywało tylko mechaniczne szczebiotanie panny Izabelli, podobne do cykania zegara. Młodsza siostra czasem tylko ukradkiem spojrzała na siostrzeńca i głową potrząsnęła, jakgdyby mówiąc: tak dalej być nie może. Bo też Jakub pierwszy raz w życiu w niezupełnej zgodzie był z ciotkami. Położenie stawało się tak naprężoném, że musiało przyjść do jakiegoś rozwiązania. Jakub tylko przez szacunek i przyzwyczajenie do posłuszeństwa nie śmiał objawić własnej woli. Pierwsza rozpacz po stracie Floruni zamieniła się w nim na zupełne zniechęcenie do dawnego życia, które mu się wydało czczém, bezużyteczném, niegodném szlachetnego człowieka. Właśnie gdy walczył z wewnętrznym bólem i ze wstrętem do próżniaczego życia, rozległy się wieści o wojnie wypowiedzianej od tygodnia. Równocześnie z tém i o sąsiadach nowiny zaczęto rozpowiadać, a najwięcej o najbliższych z la Rulliére, gło-

sząc, że pan de Bargemont już na wojnę pojechał, a panna Florentyna zapadła w gorączkę, której przyczyn nie mógł doktor odgadnąć.

Te dwie wiadomości były dla Jakuba światłem błyskawicy, które pokazało mu co ma czynić. Krew przodków zawrzała w jego żyłach, przykład bohaterów, którzy zachwycali go w młodości, zachęcił do naśladowania.—Dlaczegoż nie miałbym jechać? pomyślał sobie. Nie zastanawiał się nawet nad tē, że to będzie dlań rodzaj rozrywki wśród rozpaczy tkwiącej w sercu; nie pragnął zapominać ani też tłumić miłości, którą chciał z sobą do grobu zabrać; ale powiedział sobie, że tym sposobem znajdzie nowy cel życia i spełni czyn szlachetny. Przypuszczał, iż może legnąć na polu, a potem pochowanym być pod srebrną brzozą, ale śmierć ta wydawała mu się bardzo piękną. Rozważywszy więc wszystko, udał się do ciotki Izabelli, przedstawiającej głowę rodziny i nieśmiało, z szacunkiem przemówił do nięj:

— Chcę jechać na wojnę — przychodzę prosić o pozwolenie.

Staruszka snadź przewidywała ten krok, bo nie zadziwiła się i nie przeraziła.

— Moje drogie dziecko — odparła — w innym czasie pozwoliłabym ci w imieniu twego i mojego ojca, których władzę przedstawiam, ale dziś to jest niepodobieństwem. Syn rodziny des Allais nie może bronić przywłaszczyciela, nie może bić się pod sztandarem trójbarwnym. Gdy Francya żałując za winę przywołała prawego monarchę, powstrzymać cię nie będę.

— Francyi grozi niebezpieczeństwo, obrońców jój potrzeba—czy nie uznajesz ciotko że powinie-  
nem zaciągnąć się w ich szeregi? Odważył się po-  
wiedzieć Jakub.

— Masz własną wolę, kochane dziecko, możesz  
robić co chcesz, ale ja ani pochwalać ani błogo-  
sławić cię nie będę gdy pojedziesz.

Jakub więc pozostał. Panna Teresa dowiedziaw-  
szy się o téj rozmowie, zarzucała siostrze zbytek  
przesady w zapatrywaniach, byłaby pragnęła wi-  
dzieć siostrzeńca odznaczającym się, sławą okry-  
tym, ale i u niój przyzwyczajenie do posłuszeństwa  
silniejszém było niż wewnętrzne przekonanie. Za-  
milkła tedy jak Jakub.

Téj niedzieli Jakub jeszcze był posepniejszym  
niż zwykle; smutne wiadomości o klęskach Fran-  
cyi nadchodziły szybko jedno za drugimi, coraz  
bardziej smucąc, gnębiąc, nadzieje piękne niwe-  
cząc, jak burza.

Był to właśnie początek września. Po skończo-  
nej mszy Jakub zatrzymał się przed kościołem,  
przy gromadce wieśniaków zmieszanych, ponurych,  
którzy coś rozprawiali pocichu. Przy drzwiach na  
murze, między ogłoszeniami o ślubach i różnemi  
rozporządzeniami, przyklejony był nowy jakiś bu-  
letyn. Opiewał on o pamiętnym dniu 4-go wrze-  
śnia o Seđanie. Jakub przeczytawszy, siadł do po-  
wozu i słowa nie rzekł przez drogę. Dopiero gdy  
stanęli w domu, poszedł do pokoju starszój ciotki.

— Czy mogę jechać? zapytał.

Panna Izabella drżała jak liść, ale odparła bez  
wahania:

— Dziś to jest twoim obowiązkiem...

Panna Teresa podała mu rękę i serdecznie go uścisnęła. Jęj nie pytano o pozwolenie, a dawała je z duszy. Reszta dnia zeszła na robieniu przygotowań do podróży. Obie siostry nie miały odwagi spojrzeć na siebie, lękając się by im łzy nie popłynęły z oczu. Najmniej znaczącemi drobiazgami się zajmując, chciały tym sposobem zapomnieć o swym smutku. Ale w końcu trzeba było wypakować walizę Jakuba, do której panna Izabella wcisnęła ukradkiem jakieś ziółka i leki; trzeba było zasiąść do obiadu, którego nikt nie dotykał, trzeba było nadewszystko udać się do tego buduaru z sufitem w gwiazdy, gdzie tyle upłynęło godzin w ciszy i spokoju.

Była to chwila bardzo uroczysta. Panna Izabella drżąc ze wzruszenia słowa nie mówiła. Jakub spieszył z odjazdem, aby się nie rozplakać. Ukląkł przed ciotkami jak niegdyś w dzieciństwie, gdy pacierza go uczyły i głowę pochylił przed starszą, która szeptała nad nim błogosławieństwo. Później założyła mu na szyję relikwią zawartą w złotym, emaliowanym medalionie, a nader wysoko cenioną w tym rodzie; miała ona go przed niebezpieczeństwem zasłaniać, albo też nazawsze w ciuchym śnie spocząć z ostatnim potomkiem starego szczepu. Ani jedna łza nie pociekła z oczu, zacne szlachetne serca były w piersiach tych kobiet, które miały wprawdzie wiele dziwactw i śmieszności, ale przechowały dawną wiarę i poszanowanie tradycji rodowych. Z Jakubem traciły swe szczęście, radość, jedyny przedmiot starania i miłości, lecz zatrzy-

mywać go nie chciały. Dopiero gdy niknął im z przed oczu na zakręcie drogi, gdzie jeszcze raz się obrócił przesyłając im ostatnie pożegnanie, — rzuciły się w objęcia jedna drugiej, z gorącym łkaniem. Już nie było Jakuba, już nie lękały się swym płaczem zwiększać jego żalu.

Jakub powiedział ciotkom, że woli iść pieszo i tak zrobił, nie wyjawiając jednak powodu; a rzeczy wysłał naprzód na stacyą. Gdy stanął na wzgórzu w lasku, zmienił kierunek drogi, podążył do zamku de la Rullière. Słońce zwolna niknęło za wzgórkami, szarą barwą zarysowującemi się w oddali, i na jasnym błękitnie nieba zostawiało smugi złote; białe mgły jesienne już bując zaczęły w powietrzu, a srebrne nici pajęczyny oplatywały drzewa, wśród których przelatywały kuropatwy i gołębie. Soczyste jagody winnej latorośli dojrzewały pod liściem.

— Nie ja będę w tym roku zbierać wino — pomysłał Jakub. Biedne ciotki! pewno poczują pustkę beze mnie.

Wstrząsnął głową, jakgdyby chcąc odpędzić myśli pozbawiające go odwagi, i, aby nowych sił zaczerpnąć, przypominał sobie wielkie czyny bohaterów, którymi dawniej zaprzętał sobie głowę. Teraz mógł ich naśladować, miał pole otwarte; na piersi swój nosił pamiątkę po prapradziadzie Jakubie, który dzielnie bił saracenów. Okryje się sławą i powróci zwycięzki...

Przerwał nagle bieg myśli, zatrzymał się i ręce przycisnął do piersi, z której dobywało się łkanie.

— O Boże mój, Bożel zawołał— gdy powrócę, jeszcze będę nieszczęśliwszym — ona nie pokocha mnie nigdy!..

Gdy się uspokoił, raz jeszcze głowę obrócił w stronę zamku, w którym przeżył swą młodość, i żegnał go, zdecydowany nie powracać wcale, żegnał go nazawsze, jak i tę, która była pierwszą i ostatnią jego miłością.

Florunia sama siedziała, gdy Jakub do niej przyszedł. Chorowała ona ciężko, czas jakiś była między życiem a śmiercią, to też wyglądała jak z innego świata na tej ziemi zabłąkana istota. Zdawało się, że jej dusza jeszcze nie wie czy przejść do państwa, na którego progu już stała, czy też pozostać w dawnym. Prawdę powiedziała Rogerowi: nie miała sił do przetrwania wielkiej boleści.

Gdy Jakub po długim niewidzeniu ujrzał ją tak zmienioną, o poduszki wspartą na wielkim fotelu—nie mógł powstrzymać wykrzyku. Kląkł przy niej i łagodnie ujął jej rękę.

— Jak wiele musiałaś cierpieć!—wyszeptał.

Dziewczę patrzyło nań długo, ze współczuciem, nieledwie z tkliwością. Jego oczy zaczerwienione jeszcze były od płaczu.

— A ty, Jakubie? odparła.

— Co tam ja!—rzekł ze zniechęceniem. Wszystko minęło. Przychodzę cię pożegnać Floruniu; odjeżdżam.

— I ty także!—zawołała żywiej.

— I ja!—głośno powtórzył Jakub. A potem dodał ciszej:

— Ale ja nie zabieram twego serca, twego życia.



— Ach, wiesz zatem!... — szepnęła. Tak — jam zresztą nigdy nie usiłowała kryć tego przed tobą. Sądziłam, że zwolna odgadując mą tajemnicę, w miarę tego jak ja sama ją poznawałam, mniej będziesz nad tém bolał. O! czemuż nie mogłam pokochać cię Jakubie? Trzeba mi było poprzestać na szczerj życzliwości, na przyjaźni głębszej, jaką miałam dla ciebie. Ale może twoja w tém wina, że mi to niewystarczało. Tyś mi dał poznać coś nadziemskiego, jakieś uczucie, jakieś uniesienie, którego nie doświadczałam. To też gdy ten ogień zapłonął dla mnie — spaliłam się, zginęłam. Widzisz Jakubie, że mówię do ciebie otwarcie jak do brata, do przyjaciela, a tyś mógł mnie być przecież ocalić, gdybyś był chciał tego. Dlaczegoż mi nie powiedziałeś od samego początku, że Sabina i..

Zawahała się, gdy przyszło wymówić imię Rogera.

...I pan de Bargemont byli narzeczonymi?

— Dlaczegoż? — powtórzył Jakub — bo Sabina mi zakazała.

— Ona? A cóż ją do tego skłaniało?

— Najszlachetniejsza, najwznoślejsza przyczyna: miłość dla ciebie i chęć zabezpieczenia twego szczęścia poświęceniem siebie samj.

— Ach nie, Jakubie! Musisz się mylić, niestety! Ona z pewnością jakieś inne miała powody. Bo czyż mogę nawet wierzyć w przywiązanie, którego mi nigdy nie okazywała? Zawsze byłam dla nięj ciężarem, zawadą, a dziś mimowoli stałam się jej nieszczęściem, przekleństwem. Ona mię niena-

widzi, i nic w tém dziwnego: zabrałam jój szczęście—szczęście z którego sama umieram... Ale nie skarżę się na to. Całego życia z pustką w sercu nie oddałabym za godzinę téj miłości...

— Ach, lecz to okrucieństwem z méj strony w ten sposób do ciebie mówić! rzekła, nagle do innego przechodząc zwrotu. Więc jedziesz Jakubie, a twoje biedne ciotki?...

— Nie odbieraj mi odwagi, której właśnie przyszedłem zaczerpnąć u ciebie,—zawołał tłumiąc łkanie. Słuchaj mnie, Floruniu, idę śmierci spojrzeć w oczy, kto wie czy powrócę; nie mogłem oddalić się bez widzenia ciebie. Chciałem cię pożegnać, chciałem nadewszystko jeszcze raz ci powtórzyć, że nikogo niekocham i kochać nie będę prócz ciebie. O, nie obawiaj się słów moich! Nic już się nie spodziewam, nic nie żądam. Wiem, że nadto dobrze, iż wszystko dla mnie skończone; lecz i ja na nic się nieuskarżam. Tyś mi tyle dała szczęścia, żeś sobą w rzeczywistość zamieniła mój wymarzony ideał — pragnę ci zato podziękować. Ponieważ nie chciałaś nosić mego imienia i u mego ogniska zająć miejsca, jakie ci przeznaczałem—nikt nigdy cię w tém nie zastąpi. Poprzysiągłem na sobie mój ród zakończyć. Jeżeli zginę... śmierć ta będzie szlachetnym końcem życia mego, jeżeli zaś ocaleję... takto przyjdę cię zapytać o radę; ty mi powiesz, co mam uczynić ze swém życiem aby dla drugich się przydało. A teraz, żegnaj mi, Floruniu, żegnaj... módl się za mnie. Dziewczę płakało cicho, a on odszedł, już nie dorzuciwszy ani słowa.

Sabina każdego dnia wieczorem, po skończoném głośném czytaniu, od którego nic nie zdołało jęj uwolnić, lubo to była prawdziwa dla nięj męczarnia—przychodziła do siostry przekonać się czy nie potrzebuje czego i zamienić z nią codziennie słów parę na dobranoc, których jednostajność do rozpacz przyprawiała Florunię.

I tego więc wieczora zjawiała się, a widząc dziewczę płaczące, udała, że jęj łez nie widzi. Bo jakkolwiek serce jęj krwawiło się na widok cierpienia trawiącego ukochane jęj dziecię, hamowała się przecież i nie chciała zrzucić przybranęj maski chłodu, pod którą chowała się straszna rozpacz.

— Sabino,—po chwili zaczęła Florunia. Jakub dopiero co ztąd się oddalił. Przyszedł mnie pożegnać; na wojnę jedzie.

Sabina spojrzała na siostrę wzrokiem błędnym, jak istota która nie rozumie tego co jęj mówią. Jakub pojechał! Jakub, ten przyjaciel na którego poświęcenie zawsze liczyła, jak się zwykło liczyć na wierność psa przychylnego; Jakub, którego widywała od dzieciństwa, do którego przyzwyczaiła się jak do niezbędnego sprzętu— Jakub, którego życzliwość prosta zyskiwała wyłączne jęj zaufanie, bo on jeden ją rozumiał i o nic nie pytał, odgadując czém było jęj uporczywe milczenie. Jakub więc pojechał!... Ależ to z każdym dniem okropniejsze zaczynało tworzyć się koło nięj osamotnienie, przerażająca pustka, wśród której miała wlec i zakończyć swoje życie. Straciła Rogera, przyszłość miała zburzoną, przeszłość wydartą, wspomnienia zdeptane — Florunia umierała: O, mój Boże! mój Boże!—wykrzyknęła z głębi duszy.

I Sabina, która nigdy płakać nie mogła, teraz wybuchnęła konwulsyjnym szlochaniem.

Wtedy błysk radości i nadziei przemknął po bladłej twarzyczce Floruni. Sabina bez żalu, bez skargi, z głową dumnie podniesioną, patrzyła na odjazd Rogera, obecnie zaś za Jakubem wylewała łez potoki. Czyż więc podobna aby tamtego kochała? Florunia nie znała wielkich tajemnic ludzkiego serca. To nie burza niszczy rośliny, choć strumienie wody rozlewa i gradem błyskawic sypie; gdy uragan ucichnie kwiaty podnoszą pochylone główki, róże kwitną, ptaki śpiewają, motyle trzepocą zmokłymi skrzydełkami, lecz gdy w ciszy nocnej mróz okrutnie zwarzy przedwczesne, lub też ostatnie, spóźnione kwiaty — gdy śmierci widmo przesunie się nad nimi, nic już do życia ich nie przywoła. I rankiem sterczeć będą tylko zwichnięte łodygi i zczerniałe liście. Florunia miała przed oczyma obraz burzy: Sabina płakała gwałtownie. Dziewczę wyobrażało sobie zatem, że boleść ta podobna do jej boleści była najgłębszą. Nie wiedziała ona że istnieje rozpacz bezdenna a głucha, która pożerała życie Sabiny zwolna ale ciągle.

---

## XVII.

Jakub został bohaterem, wprawdzie niepodobnym do tych, którzy w jego rojeniach żyli, nie sławnym i dokonywającym czynów nadziemskich, ale jednym z tych bohaterów, którzy bez rozgłosu szlachetnie działają i giną.

Nie miał on ani maczugi ani włóczni złotój, nie uosabiał potęgi i siły—blady był i jakby chwiejny i źle odziany. Z każdym nieledwie krokiem tracił część swoich złudzeń i nadziei, przekonywał się iż rzeczywistość daleką jest od mamideł wyobraźni. Postanawiał życie swe złożyć w ofierze, nie chciał go oszczędzać, a śmierć jakby dla igraszki setki innych obalała dokoła, jego pozostawiając nietkniętym. Jakub z zazdrością patrzył na tych towarzyszy; — czemuż nie mógł swoim skonem okupić ich życia, potrzebnego dla żon i dzieci lub rodziców! W końcu prosił Boga o śmierć nie jak bezbożnik, chcący tém przerwać troski i cierpienia, lecz jak męczennik, który pragnie jaknajprędzej zrzucić więzy ciała, by stanąć u tronu Stwórcy.

Pewnego ponurego dnia, w grudniu, oddział do którego należał opuścić musiał wioskę. Zimno było ostre, śnieg leżał na ziemi skopany, zabrukany, krwią poplamiony. Francuzi dzielnie się bronili, o czém świadczyły domki poogradzane każdy z osobna. Jakub, w jednej z chat zamknięty, wystrzelił ostatni nabój. Kule podruzgotały drzwi i okna, potłukły szyby i podziurawiły mury, na ziemi leżały martwe, poszarpane ciała, jakby kłosa od burzy pokładzione, on tylko życie zachował wśród tego zniszczenia. Czyliż go tak bronił ów talizman?

Nie mógł pozostać w tej pustce, zamierzał więc połączyć się z resztką ocalonych, którzy do lasu uciekli.

Gdy jednak zabierał się do wyjścia z chaty, spostrzegł, że były tylko drzwi jedne, prowadzące na główny gościniec, przez nieprzyjacielskich żoł-

nierzy zajęty. Wyjść więc tam było to samo, co dobrowolnie oddać się w ich ręce. Jakub życia nie oszczędzał i nie żałował, ale swobody nie chciał tracić. Wtém przypomniał sobie, że w chwili napadu właściciel domu uciekł do pewnego rodzaju piwnicy, gdzieś od tyłu; tam się też i on udał. Wieśniak drżał z trwogi. Jakub uspokoił go co do pewności swój osoby i nawet namówił, aby w odmierne suknie przebrany, wyszedł cokolwiek na świeże powietrze. Z zapadającą nocą—biedny człowiek powrócił do kryjówki podzielić ze swym gościem suchy kawałek czarnego chleba; przyniósł zarazem smutne wieści, których całe zastępy wólką się zwykle za wojennym wozem, jak kruki za trupem. Tu widział ranionych, tam zabitych, głodne kobiety i dzieci, pola stratowane, poburzone domy, a jedną chatę nawet spaloną przez samego właściciela.

— Dlaczego?—zapytał Jakub prawie machinalnie, bo chłop gadatliwy ust nie zamykał i męczył go jednostajnością opowiadania.

Była to historia niejednen raz się powtarzająca. Człowiek zrozpaczony ruiną, zaślepiony nienawiścią mylnie czy słusznie czując się zniesławionym, aby ocalić dobre imię matki swych dzieci, zamknął chatę i sam ją podpalił. Taki występek nie mógł ująć bezkarnie. Winowajca sam się oddał w ręce sprawiedliwości, gdyż wiedział że w razie jego ucieczki sześciu ludzi miano rozstrzelać. Z wywodzonych dalej żalów Jakub dowiedział się od wieśniaka, że ów zbrodniarz zostawiał bez dachu i opieki młodą żonę i pięcioro drobnych dzieci.

Jakub się zamyślił.

— Kiedyż go stracą? zapytał.

— Jutro o wschodzie. Tymczasem zamknęli go w kościele z proboszczem. Nie boją się aby uciekł, bo sam przyznał się do winy, zresztą drzwi pilnują.

Jakub już o nic więcej nie pytał. Pożegnał gospodarza, dziękując mu za schronienie, i w płaszcz owinięty zniknął w ciemnościach nocy. Śnieg płatami znów padając, zacierał ślady jego kroków.

W kościele skazany z sercem pełnym goryczy, z umysłem rozdrażnionym, rozciągnął się na ławce udając śpiącego, aby się oswobodzić od rozmowy z duchownym, który mówił mu o żalu, przebaczeniu i poddaniu się woli Bożej, podczas gdy on pragnął krwi i zemsty. Proboszcz klęczał na wilgotnej posadzce zgięty, i, głowę siwą oparłszy o filar, zasnął, wyczerpany wzruszeniami tego dnia straszego. Wtém więzień zerwał się nagle: jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Przed nim stał mężczyzna młody, wysoki, z włosami jak jego jasnym; ruchem ręki milczeć mu kazał, powstać i spojrzeć na drabinę, opartą o jedno z okien kościelnych.

— Wiesz niezawodnie, że tam jest ogród plebanii — szepnął. Zejdz więc, drabinę schowaj i uciekaj.

Wieśniak nie ruszył się z miejsca.

— Wiedz pan, że gdy mnie jutro rano tu nie znajdą, to rozstrzelają sześciu moich towarzyszy — powiedział chmurnie.

— Znajdą cię, bądź spokojny — rzekł nieznanomy. Daj mi twoje ubranie, weź moje. Pewno ciemno było, gdy cię tu przyprowadzili.

— Jakto! pan byś chciał!... wybełkotał winowajca.

— Cicho! — nakazująco przerwał mężczyzna i wskazał na śpiącego księdza.

O wschodzie jutrzenki przyszedł po więźnia oddział żołnierzy. Skazany postępował z głową dumnie podniesioną obok proboszcza drżącego ze starości i wzruszenia. Ze schodów zstępując duchowny się zachwiał i omal że nie upadł.

— Oprzyj się na mojem ramieniu, szanowny kapłanie, — powiedział więzień — ja nie postradałem sił w służbie Bożej.

Cmentarz był zupełnie pusty, tylko czarne krzyże odbijały od białej opony śniegu. Nie spostrzegłś dokoła ani jednej żywej duszy, nawet żadnego z ciekawców, którzy nie pomijają najmniejszego widowiska. Nikt nie miał smutnej odwagi, aby patrzeć na śmierć towarzysza — nikt nie mógł też zdradzić szlachetnego podstęp. Trzeba było ofiary — i ta była.

Gdy pogrzebowy pochód stanął pod murem cmentarnym, oficer uszykował wojsko, a skazany klął przed kapłanem.

— Mój synu, ostatni raz cię pytam dlaczego poświęcasz życie, którego Bóg jeszcze nie żąda od ciebie?

— Dlatego aby ocalić jednego z bliźnich i śmiercią okupić bezużyteczność mego poprzedniego istnienia.

— Czy przebaczasz?

— Z całego serca, tak jak pragnę by mnie przebaczone.



Ksiądz podniósł ku górze drżące ręce i wyszeptał ostatnie błogosławieństwo.

Skazany podniósł się, odsłonił pierś, na której błyszczał złoty emaliowany medalion, i wyrzekł:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Padł rozstrzelany.

Po chwili, gdy rozwiął się kłęb dymu, ksiądz z oczyma łąz zaszłemi przypelznął do bezkształtnej masy na ziemi leżącej, ukląkł na krwią zbroczonym śniegu i z czcią pocałował nogi nieznanego, jak dawni chrześciance całowali męczenników.

Potem własnymi rękami kopał ziemię stwardniałą od mrozu; grób zrobił szlachetnemu bohaterowi, który nie wyjawiał mu nawet swego nazwiska i prosił tylko, aby został pochowany razem z medalionem złotym. Kula strzaskała tę relikwią i pamiątka po dzielnym Jakubie des Allais zginęła z ostatnim jego potomkiem.

---

## XVIII.

W ogrodzie des Allais ulubione róże Jakuba kwitły jak zwykle, mniej starannie utrzymane, ale obfite jak lat innych, wonne—niewdzięcznice!—Cóż to obchodzi naturę, że setki istot cierpią, umierają, giną—ona zmienia swe stroje, to białą to zieloną przywdziewając szatę.

Florunia gasła. Sabina, nie chcąc zdradzić okrutnej swój podwójnej rozpaczy, coraz mniej mówiła, wydając się tym sposobem w oczach innych bar-

dzo obojętną. Pan de la Rullière, zgryziony stramtami spowodowanemi przejściem wojsk, tracił pamięć i spryt gospodarczy. Panna Izabella zamilkła, a siostra jej była złamaną niepokojem trudniejszym do zniesienia niż pewne nieszczęście.

Z początku wiadomości od Jakuba dość regularnie przybywały do ciotek; potem przerwały się nagle. Sabina już nie śmiała zapytywać starych przyjaciółek co słychać u nich i w kościele odwracała głowę, by nie patrzeć na ich smutne twarze. One zaś między sobą usiłowały podtrzymywać iskrę nadziei: Jakub mógł być uwięzionym albo rannym. Panna Izabella kładła jak zawsze jaskrawe kapelusze i suknie, aby nie przypuszczano, że nosi żałobę.

Ale w końcu już nie wiedziały czém wytłumaczyć sobie jego milczenie. Komunikacją na wszystkich drogach przywrócono, pozostali przy życiu wojownicy do domów dążyli—Jakuba nie było.

Raz czy dwa dzienniki przyniosły do la Rullière wieści o Rogerze. Do Paryża wszedł z wojskiem; sławą się okrył; jego odwaga i dawna wprawa w rzemiośle wojenném wiele mu pomogły w dosłużeniu się wysokiego stopnia. Żył—ale nie miał powrócić nigdy. Florunia o tém wiedziała i los swój przyjąć chciała z poddaniem się, lecz z dniem każdym traciła resztę sił, lica jej były już całkiem bezbarwne, jak alabaster przejrzyste.

— Czyż moja w tém winna?—myślała raz Sabina z przestachem. Czyż to dziecię przeze mnie umiera? może dość jednego słowa by ją ocalić?

Pewnego ranka przyszła do panien des Allais i powiedziała:

— Chcę jechać i powrócę dopiero wówczas, gdy wiadomość o Jakubie zdobędę. Żadna z was nie może przedsiębrać téj podróży.

Ojcu zaś powiedziała ze zwykłą szorstkością:

— Jadę do Paryża. Pielęgnuj ojcie Florunię podczas mojej nieobecności to ci czas zapełni. Do książek rachunkowych i gospodarstwa się nie mieszaj, bo mi tylko popsujesz. Za powrotem wszystko załatwię i odrobię...

Stanąwszy w Paryżu, zaraz pospieszyła do ministerjum wojny, gdzie łatwo zasięgnęła wieści o Jakubie, niezupełnie wprawdzie jasnych ale pewnych. Uczestniczył w obronie wioski, którą wymieniono—i musiał tam zginąć, lubo jego ciała nie odnaleźli. Tak wielu wówczas padło żołnierzy, pochowano ich razem napędce.

W dniu następnym zapukała do drzwi na plebanii, w owój nieszczęsnej wiosce. Stary proboszcz nie przetrwał strasznych dni i silnych wzruszeń. Młody jego następca uderzony ponurym wyrazem twarzy kobiety, która z suchém okiem i stanowczym głosem przychodziła do grobów — łagodnie jej mówił o chrześcijańskiem poddaniu się woli Bożej, o łzach, które możemy wylewać za ukochanymi i o pociechach, które możemy jeszcze znaleźć na tym świecie, chociaż nam śmierć drogie istoty wydarła.

Sabina słuchała go marszcząc brwi czarne.

— A cóż pozostaje tym, którzy nie chcą płakać—a ku niebu nawet nie mogą oczu podnieść

za zmarłymi, bo ich własne serce jest grobem, w którym codzień widzą trupa; — cóż tym pozostaje? powiedział

— Dla nich jest Bóg na wysokościach, a miłosierdzie na ziemi—odparł kapłan. Bóg daje pociechę i swą miłość tym, którzy stracili szczęście ziemskie.

Sabina patrzyła na duchownego badawczym wzrokiem. Potem odwróciła się zwolna i, głowę pochylając, szła za nim w milczeniu. On ją prowadził na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie po- grzebano wszystkich nieznanym bohaterów. Przez cmentarz idąc, zatrzymała oko na kępce drobnych stokrotek rosnących na grobie, nad którym stał krzyż czarny bez napisu.

Wzruszona słowami księdza, rozrzewniona ja- kiémś nieznanem dotąd uczuciem, które łamało jęj zimną, żelazną siłę, dumę i energią, szczepiąc w to miejsce łagodność i poddanie się ciche—pochyliła się nad zieloną mogiłą. Zerwała jeden z białych, nikłych kwiatków, a łza gorąca równocześnie spły-nęła po jęj twarzy i spadła na grobową murawę.

Sabina przeszła dalej nie domyślając się, że zapłakała nad szlachetnem sercem Jakuba des Allais.

---

Po odjeździe Sabiny Florunia usiłowała otrzą- snąć się z niemocy, która ją opanowała. Chciała się czémś zająć i w niejednem zastąpić siostrę; ale ją zdradziły siły fizyczne. Upadała wyczerpana, lecz

z t $\acute{e}$ m przynajmniej przekonaniem, że nie woli i od-  
wagi, lecz sił j $\acute{e}$ y brakowało.

Sabina nie pisała ani razu, i nikt się temu nie  
dziwił, bo uprzedzała, że sama przywiezie wieści,  
jakie będzie mogła zebrać.

Florunia czekała j $\acute{e}$ y powrotu bez obawy, bez  
nadziei; nieledwie zadowoloną była z nieobecności  
siostry, której obojętność i milczenie tak ją bolało.  
Zresztą czegoż mogła się spodziewać jeszcze? Dla  
niej przecież wszystko już się skończyło.

Raz wieczorem siedziała w oknie i patrzyła na  
ginące na zachodzie ostatnie promienie słońca.  
Turkot powozu przerwał ciszę zmroku.— To Sabi-  
na!—pomyślała sobie. Nadto osłabiona, aby wy-  
biedz naprzeciw niej, ręce założyła i czekała.

Gdy drzwi się otworzyły, krzyknęła z gwałto-  
wną radością:

— Roger!

I rzuciła się w jego objęcia.

— Moje dziecię najdroższe, mój skarbie jedy-  
ny!... Drżał ze wzruszenia i pochylał się nad ja-  
sną j $\acute{e}$ y główką, jakgdyby chcąc przelać na nią  
całe swe uczucie.

— Jakaś ty słaba, mizerna, blada i to przeze-  
mnie! — wyszeptał. Ale ty odżyjesz Floruniu,  
przynoszę ci miłość i szczęście. Jestem wolny! mo-  
gę cię kochać—będziemy żyć razem.

— A Sabina?—wyrzekło dziewczę.

— Sabina jest tutaj. Ona mię przyprowadziła  
do ciebie. Dokazała cudu aby odnaleźć moje ślady,  
które usiłowałem zatrzeć. Dogoniła mnie w chwili,  
gdy już prawie na okręt wsiadałem, chcąc powró-

cić do Ameryki. Bom słuchał twój rady, ukochana, i uciekałem od ciebie przekonawszy się, że możemy być szczęśliwi tylko wówczas, gdy serce tamtej kobiety złamiemy. Ale dziś rzeczy się zmieniły. Sabina wyznała całą prawdę, od dawna kochała pana des Allais.

— Ach! więc dobrze odgadłam!—zawołała Florunia.

— W pierwszej chwili gdym zobaczył Sabinę przypuszczałem, że to los mię przesładuje, że ona przybywa zmusić mię, abym wypełnił obietnicę, która stała się dla mnie ciężarem nieznośnym. Lecz ona przeciwnie, wolność mi wracała. Przyznała się do wszystkiego. Nie śmiała wcześniej wspominać mi o przywiązaniu do pana des Allais, gdyż wstyd jej było, że nie dotrzymała słowa. Przyjęła mię zatem chłodno chcąc mi tém okazać obojętność. Później, widząc rodzące się między nami uczucie, odetchnęła swobodniej, zadowolona, że i ja nie pozostaję względem niej bez winy. Panu des Allais wzbronila mówić ci, że byłem jej narzeczonym, dając tém samém poznać, że się uważa za wolną. On jednak nie rozumiał tego rodzaju wyznania. Teraz już nie żyję—zginął.

— Przeczuwałam niestety! że tak się stało. Biedna Sabina!

— Biedna!—powtórzył Roger. Przynajmniej że nie przez nas cierpi; możemy być szczęśliwi, nie czując się względem niej winnymi.

Wierzyli, iż tak było wistocie, i swobodnie używali szczęścia, razem przepędzając dnie radosne.

A nieraz podczas ich cichych, tkliwych rozmów, do pokoju wsuwał się ponury, milczący cień kobiety z żałobą w sercu.

Sabina miała dość odwagi by przyspieszyć ślub Floruni i zajmować się wszystkiem, jakby to czyniła rodzona matka. Ani na chwilę sił jej nie zbrało, ani jedno słowo skargi lub goryczy z ust jej nie uleciało; ale ci, którzy jej nie widzieli od czasu podróży, niebyliby jej poznali. Włosy jej osiwiały prawie zupełnie, a twarz przybrała dziwną słodycz smutku i poddania się, które oczom zawsze czarnym nadały wyraz tkliwości.

Bo też Sabina się zmieniła. Dziś już nie było jej dumy. Skłamała — i w sumieniu swém, dotąd bez plamy, czuła się upokorzoną i winną. Nie zastanawiała się nad tém, jak wzruszające i wzniosłe było jej kłamstwo; to tylko wiedziała, że odstąpiła od prawdy.

Panny des Allais, dowiedziawszy się na pewno że siostrzeniec ich nie żyje, przywdziały czarne szaty. Zresztą nie zmieniły w niczém swego życia — ofiara ich była przyjętą. Pewnego ranka, w niedługi czas potem, znaleziono pannę Izabellę uśpioną snem wiecznym, w jej wysokim fotelu gotyckim. Siostra kazała ją pochować na cmentarzu des Allais, gdzie brakowało nagrobka ostatniego z synów rodu, a potem zajęła się wykonywaniem jej woli. Zamek zamieniono na przytułek dla sierot pozostałych po wojskowych; sprowadzono zakonnice do opieki. Tylko miłosierdzie mogło odziedziczyć ziemię, od tylu wieków zostające w posiadaniu tej

rodziny; nikt obcy nie powinien tam być rządzić i wspomnień deptać!

Pan de la Rullière nigdy jasno nie zdołał sobie przypomnieć, którą z dwu córek niegdyś poślubić miał pan de Bargemont. Sabina z łatwością zatem wzmówiła, że Florunię.

Jego ciało rozrastało się w miarę tępienia umysłowego. Czekala go bardzo smutna starość, która nuży cierpliwość otaczających i wyczerpuje przywiązaną; wówczas już tylko poczucie obowiązku działać może.

Sabina przewidywała, że ten silny, olbrzymi starzec o wiele lat przeżyje swój rozsądek i przytomność; wiedziała, że wtedy ona będzie jedyną jego opiekunką i towarzyszką. Florunia z Roge-rem miała zamieszkać w Paryżu, przepędziwszy pierwój zimę na południu dla zdrowia. Szczęście tak korzystnie wpływało na nią, że odżywała pod jego ciepłem, jak pochylone przez burzę kwiaty pod działaniem promieni słońca.

Gdy odjechał powóz, który unosił dwie te szczęśliwe istoty, i Sabina znalazła się sama w wielkim zamku, sama z ojcem, który zachował dawną swą ruchliwość i potrzebował jak dziecko opieki—siły opuszczać ją zaczęły. Chciała uciec do swego pokoju, by tam wyplakać się do woli—jak to nieraz obecnie czyniła, ale pan Albin ją zatrzymał.

— Gdzie idziesz? zapytał szorstko. Dzięki Bogu, że przecie sobie odjechali. Tak długo to wszystko trwało, że nawet święty by się zniecierpliwił. No, ale już odzyskaliśmy swobodę! Będziemy mogli



powrócić do naszego skromniutkiego życia; a gdy twój narzeczony powróci, wyprawimy drugie wesele. O! to może się odbędzie w zamku des Allais, każę porobić odpowiednie zmiany w ogrodzie tego gamonia Jakuba; kartofle i buraki tam posadzimy. Ale słuchaj - no! przeczytaj mi artykuł o nowój chorobie kartofli, to cię zajmie;—tylko czytaj głośniej, rozumiesz. Bo teraz ci się zrobił głos tak cichy i niewyraźny, jakgdybyś na pogrzebie zawsze mówiła.

Sabina wzięła Przegląd i odczytała żądany artykuł. Skończywszy, oczy podniosła i zapytała:

— Czy nic więcej?

Pan Albin spał w najlepsze.

Ona wysunęła się do swego pokoju, drzwi zamknęła, zgasiła światło i, w dal patrząc na zachmurzone niebo, ręce załamała z rozpacz:

— Oni są szczęśliwi—myślała — a mnie nic nie pozostało, nic zgoła!

Lecz potem nagle, głowę chyląc ku ziemi, dodała:

— Przebacz, przebacz mi Boże! Pozostała mi twa dobroć, twa miłość — trzeba ażebym odpokutowała swoje kłamstwo!

K O N I E C.





SPIS POWIEŚCI  
p. t.  
WIECZORY POWIEŚCIOWE  
wydane nakładem redakcyi  
BIESIADY LITERACKIEJ

---

**BICZ KORALI.**

Powieść, przez Walerego Przyborowskiego.  
Cena kop. 50.

---

**KRÓLEWSKI DOMEK.**

Powieść, przez B. Wł. Korwina.  
Cena rs. 1.

---

**ZŁOTA DZIEWECZKA.**

Powieść z dziejów Zagrzebia napisał August Szenoa  
tłumaczył z chorwackiego Br. Grabowski.  
Cena rs. 1 kop. 20.

---

II

## **SREBRNY PIENIĄDZ.**

Powieść z czasów Węgierskich przez Maryana Tengera  
Cena rs. 1.

---

## **OSTATNI Z PRAWOWITÉJ DYNASTYI.**

Powieść przez Eliasza Bertheta  
Cena rs. 1 kop. 20.

---

**Adres: Józef Unger, Warszawa, Nowolipki Nr 3.**





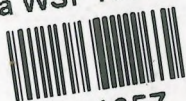
189

22/85

WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

153620

Biblioteka WSP Kielce



0131657